



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Wydawca Michał Glücksberg

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KANTORZE DRUKARNI

Laskauera i Babickiego.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszczu“ po kop. 15 za wiersz petitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

Ślōjd, jako czynnik wychowawczy.



Możliwie doskonały rozwój sił fizycznych i umysłowych dziecka do chwili, gdy staje ono gotowe podjąć sztandar walki życiowej, wytworzenie harmonijnej równowagi między temi siłami, jest bezwątpienia najdroższym celem wychowawców. Gdy jednak potrzeba ideał ten wcielić w system wychowawczy, rozbijając go na drobne cząsteczki nieustających usiłowań, gdy krok za krokiem walczyć musimy z ułomnością własną, niewyrobieniem pedagogicznym, zgnataniem pojęć zamkniętych w ciasnych szrankach przesądu i rutyny, wreszcie z nieprzyjawnymi warunkami położenia i otoczenia naszego, ideał ów błędnie, rozprasza się, a wreszcie znika z przed oczu wychowawców, wracając do krainy marzeń nieureczywistnionych. I ztąd wynika, że z rąk rodziców intelektualnie rozwiniętych, ożywionych najlepszymi chęciami u wstępu swej pracy wychowawczej, społeczeństwo odbiera częstokroć lichych, nieudolnych szermierzy, którzy po pierwszych próbach zapasów z losem-wrogiem, tracą ubożuchny swój zapas energii, woli, rzutkości umysłu, powiększając i tak już liczne zastępy niedobitków życiowych.

Wymienione powyżej przyczyny, zredukować się dadzą do jednej, najważniejszej: do wadliwości systemu wychowawczego rodzi-

ców, nie zdających sobie sprawy: *jakie* przede wszystkim przymioty, *jakie* strony charakteru i natury dziecka rozwijać należy starannie, by łódź jego życia od rozbicia uchronić.

Pozostawiając na stronie zabiegi, mające wyłącznie etykę na celu, rzucmy okiem na te siły i zalety, których rozwój w późniejszej walce bytowej o zwycięztwie stanowi.

Bacne, uważne wpatwienie się w sylwetki duchowe ludzi genialnych, którzy na polu wynalazków, przemysłu i t. p., niepożyte oddali ludzkości usługi, zbadanie przyczyn przodownictwa pewnych narodowości, własna nasza obserwacja życiowa na jednostkach przeprowadzona, najlepiej nas w tym razie oświeca. Samodzielność, samorzutność, zdolność szybkiego a trafnego orientowania się w każdej trudności, uprzedzenie i opanowanie niebezpieczeństwa, nakoniec oddanie swej fizycznej i duchowej jaźni pod surową karnosć woli, oto całokształt najważniejszych cech szermierza-zwycięzcy w turnieju życiowym. Aby je rozwinać w dziecku, nie potrzeba żadnych, nadzwyczajnych usiłowań i zabiegów.

Jak w naturze ziarenka piasku tworzą Sahary, a kryształki śniegu lodowce i lawiny, tak w życiu ludzkim z małych przyczyn, wielkie powstają skutki.

Kształdmy w dzieciach cierpliwość, wytrwałość, zręczność, uwagę, zdolność skupienia myśli na jednym przedmiocie, spostrzegawczość, systematyczność, a niepochwytany ów ideał osiągniemy w zupełności. A stać się to może wówczas, gdy w systemie wychowania

dzieci naszych slōjd zajmie należne mu słuszne stanowisko.

Pojęcie slōjdu odgrywa dotąd w pojęciach ogółu jedynie rolę nauki rzemiosł.

Jest to błędne pojęcie.

Ślōjd, to dzielny pomocnik i wyręczyciel wychowawców, opiekun i dobry duch wychowawców, serdeczny sprzymierzeniec jednych i drugich, wreszcie anioł stróż ubogiej diatwy. Inaczej: jest to niezawodny sposób naprawiania błędów, popełnianych przez nas w wychowaniu dziecka, przez zaszczerpienie w niem zalet i cech, o których mówiliśmy wyżej.

Terminologia tego wyrazu objaśnia nas, że jest to wprowadzenie w zakładach wychowawczych nauczania robót ręcznych w ten sposób, aby teoretyczne wykłady przedmiotów naukowych, przeplatane były niemi. Prócz tego, rozwijać on musi umysł dziecka, aby go przystosować do przyjęcia nauki systematycznej i dlatego powinien ją poprzedzać.

Zwiedzając zakład p. J. Przyłuskiego przy ulicy Składowej, z rzetelną przyjemnością patrzyłam na małych człowiczek, zajętych przy swoich warsztacikach.

Tyle tam powagi i przejęcia się przedmiotem, a jednocześnie wesołego ożywienia.

Ślōjd ćwiczy w dzieciach uwagę, zręczność i biegłość ręki, miarę w oku, rozwija umysł do działania, nie dopuszcza roztargnienia, niezdarności i niedbalstwa; rozbudza poczucie ładu, harmonii, zamiłowanie i poszanowanie ręcznej pracy. Prócz tego rozwija prawidłowo-

wo mięśnie. Lecz jeśli dla dzieci wyższych warstw społecznych slöjd ma ważne znaczenie, to dla dzieci nędzy jest ono wprost obrzymie.

Któż z nas nie patrzył z bolesnym wstrętem na wałęsających się nad Wisłą, lub w zaułkach miasta, chłopaków o znikczemniałym wyrazie twarzy, grających w brudne karty, ćmiących machorkę w zadrukowanej bibule!

Któż nie wie, jaki los spotyka ich siostry!...

Ludzie dobrej woli czynią, co w ich mocy, by hydrze zepsucia wydrzeć jak największy procent nieszczęśliwych, lecz jest-że w mocy człowieka owoc zgniły na zdrowy przemienić?

Sucha nauka rzemiosła, bezmyślne zajęcie z malcami, nie wiele tu pomogą. Lecz wprowadźmy slöjd z rozumiejącymi jego znaczenie wychowawcze kierownikami, wyrwijmy z objęć nędzy drobnie istoty, nim je stoczy zepsucie i oddajmy w opiekę temu dobremu lekarzowi, a on sobie z niemi poradzi i odda społeczeństwu zdrowe, moralnie i fizycznie.

Na zakończenie dodam jeszcze, iż obznajmienie się z wykładem slöjdu przy dobrej woli i zręczności, nie wiele trudności przedstawia.

Tych, którzyby chcieli zapoznać się bliżej z nauką slöjdu, odsyłam do broszury przełożonego szkoły ze slöjdem, p. Józefa Przyłuskiego, która to praca drukowana była w „Słowie“ i wyszła w osobnej odbitce.

Wanda Grot-Bęczkowska.



Julia Terpiłowska.



PRZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

Wybiegła na próg chaty, by dać rozporządzenia Marcinowi, a potem naląła po drugim kubku herbaty, i pili powoli, gawędząc, jak starzy znajomi.

— A teraz—rzekł Zygmunt, odsuwając próżny kubek,— kiedy już pani głodnego nakarmiła, pragnącego napoiła, przemokłego przyodziała, byłoby szczytem gościnności, gdyby mię pani uraczyła muzyką.

— Dobrze, jeżeli pan ma ochotę—odpowiedziała,— ale nadzwyczajnej przyjemności proszę się nie spodziewać, bo talent mam średni i wprawę teraz nie wiele.

Weszła do alkierza i w tej chwili pod białą powalą chaty rozplynęły się rzewne dźwięki Chopinowskiego mazurka. Grała ładnie, oddając z przejęciem uczucie mistrza, a swojej nucie wtórzył trzask iskier, ulatujących z ogniska i plusk bijącego o szyby deszczu. Zygmunt zaszłuchał się, zamyslił i zapatrzył w otwarte drzwi alkierza, gdzie na jasnym tle okienka, między dwoma kwitnącymi geraniumami, rysowała się ciemną linią kształtna głowa o orlim profilu, a grube promienie wilgotnych włosów, odrzuconych na ramiona, wiły się, przebłyskując złotem, po białej koszulce i niebieskim gorseciku.

W tym samym czasie pod zielonem sklepieniem olszyny Mewa, siedząc na omszonej kłodzie, wyciągała pieszczone rączki do roznieconego ogniska, i z dziecinną skargą, żaląc się to na to, to na owo, zmuszała Jura do ciągłej pieczołowitości około swojej delikatnej osóбки.

— Przemokły mi pantofelki! dni moje policzone...— zawołała pół żartobliwie, pół trwoniem, wysuwając wążką nóżkę do ognia.

Jur—uzbierał suchego mchu i rozesłał jej pod nogami.

— Teraz dobrze—szepnęła.— Kto wie, może w tej chwili uratował mi pan życie...

— Czy aż tak?—odpowiedział z uśmiechem.— Nie przyznaję sobie tak wielkiej zasługi.

— Zdarza się przecież—mówiła dalej, mruczając oczy w zamysleniu,— że za przemoczonym pantofelkiem idzie najpierw trochę kaszlu, potem gorączkowy rumieniec, potem czerwone plamy na chusteczce, nakoniec błękitne pudelko osypane białymi kwiatami, a w niem „na atłasie, piękna—cicha—rączki trzyma w krzyż...”

— Pani miewa takie smutne przeczucia?

— Może to nie smutne... Może to lepsze, niż powszedniość długiego życia... Śmierć za młodu, to jak pieśń o skoszonym kwiatku...

— Czy mam wyrzucić mech i zagasić ognisko?

— A to po co?

— Żeby pani dać możność zabawienia się w poezję śmierci.

— Co za okrutne serce! więc mi pan tego życzy?

— Nie uważam za okrucieństwo, życzyć komuś tego, co sam woli.

— Ostatecznie wolę życie, bom ciekawa. A pan niech mi powie, czy warto żyć?

— Jak komu.

— Naprzykład panu, albo mnie?

— Ja żyję—bo muszę; a pani żyje—bo ją to bawi.

— Ale czy to gra warta świecy?

— Zależy, w co się gra: bywają gry, nie warte spalonej zapalniczki.

— A czy mogą być w życiu chwile, krótkie, jak błysk zapalniczki, jednakże wiele warte?

— Czy pani tak mało zna życie?—rzekł wymijająco.

Ona zrobiła minę melancholiczną i zaczęła półgłosem:

— Znam dotąd tylko smutne strony życia... Wcześniej straciłam matkę, wychowywałam się po za rodzinnym domem, wyszedłszy z klasztoru musiałam ratować zdrowie pod obcym niebem... Przeszłość moja zbyt krótka i zbyt prosta, abym mogła wyciągnąć z niej wnioski o przyszłości...

Nie wspominała ani o swoich karnawałach, ani o pobycie za granicą, ani o swoim powrocie do ojczyzny. Lubiała czasem wykazywać brak doświadczenia, wiedząc, że naiwna świeżość uczuć i dziewicza nieświadomość życia podoba się takim zwłaszcza mężczyznom, którzy już bywali w pazurkach wytrawnej kokietki. Wiedziała też, wspominając o swojej sieroczej doli, że lekki cień czarnej krepy, rzuconej na śnieżno-białą sukienkę, budzi sympatyczne uczucia. Jednocześnie była bardzo rezolutną i śmiałą w obejściu,

jak panienska, która nie wie, ale ma dosyć sprytu, aby wiele zgadywać. A to wszystko było w niej na poły szczere i naturalne, na poły rozmyślnie wyrafinowane, i sama we własnej swej naturze nie potrafiłaby rozplątać tych zawikłanych różnobarwnych nitki. Rozsnuwała je teraz przed oczyma Jura, aby go sobą zainteresować, bo podrażnił jej miłość własną, nie zwracając na nią uwagi, a przytem zaciekał ją, jako typ niecodzienny. Jur—myślała—musiał się nią zająć, nie tylko dlatego, że jej się to słusznie należało, ale też dlatego, że komplikacje, jakbięby ztąd wynikły, byłyby bardzo zabawne, a jej tak się nudziło w tym deskami zabitym Obrywinie!

Klara ucieszyła się, widząc że Jur ożywił się trochę, rozmawiając z Mewą, i zbliżyła się do nich, aby wziąć udział w pogawędce. Mewa wnet nastroiła rozmowę na ton żartobliwy, i tylko lekki cień zamyslenia, przesłaniający chwilami jej ożywioną twarzyczkę, pozwalał się domyślać, że pod tą dziecinną pustotą kryje się jakaś głębia, na której dnie śmiały nurek mógłby dojrzeć skarbowe zakłętych.

Wielolecki siedział opodal ogniska, z obawy zakatarzenia i rozcierając ręce, milczał z kwaśną miną. Poprzednio ożywiony był obecnością Malwy, której hoża, rzeźwa młodość elektryzowała jego zużyte nerwy; obecnie zły i znudzony, niecierpliwie wyglądał Marcina, i powitał go, jak zbawcę, gdy zręcznie wykręcając wozem pomiędzy kopicami, zajechał przed olszynę.

Wiatr ustał, deszcz padał coraz mniejszy i podróż pod parasolem kanonika odbyła się prawie na sucho. W chacie Kalinieckich Mewa nie mogła się dość nacieszyć herbatą w glinianych kubkach i Zygmuntem w chłopskim kostymie; obejrzała wszystkie kąty w izbie i alkierzu, zagrała z Jurem parę kawałków na cztery ręce, a gdy powóz z palacu zajechał przed wrota, kładąc kapelusz przed małym lusterkiem, ofiarowała Malwie sąsiedzką zażyłość. Wielolecki przypieczętował tę propozycję swoją ojcowską powagą, wynurzając pannie Kalinieckiej zadowolenie ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, w skutek którego biedna Mewa będzie mogła pozyskać tak miłą towarzyszkę wśród swoich wiejskich nudów. Oboje przy pożegnaniu zapraszali Kalinieckich do siebie, na co Malwa odpowiedziała:

— Wdzięczna jestem państwu za ich uprzejmość, ale z niej nie skorzystam. Mój brat i ja mało mamy czasu na odwiedziny.

— Macie państwo przecież wieczory wolne?—rzekła Mewa.

— Ale nie mamy wielu rzeczy, bez których nie można bywać w świecie, uważającym je za konieczne.

— Na to łatwo zaradzić—wtrącił Wielolecki.— Mieszkamy tak blisko, że moglibyśmy się poprzednio porozumiewać, aby pani nie spotkała u nas nikogo z osób, którychby się mogła żenować.

— Nie zrozumieliśmy się—odparła z uśmiechem Malwa.— Mnie nie krępuje niczyja obecność—ale nie chcę moją obecnością nikogo krępować. Moje zajęcia, mój tryb życia, moje wreszcie ubranie, nie pozwalają mi wrócić

do towarzyskiej sfery, której sposób widzenia znam doskonale.

— Właściwie — bąknął z zakłopotaniem, — główny szkopał stanowi tu ubranie... ale przecież gdyby pani zechciała...

— Ubrać się w ów skromny ale gustowny kretonik? — przerwała, śmiejąc się.

— Właśnie! — odparł seryo.

— Cóż, kiedy ja w żaden sposób nie mogę rozstać się z moją chłopską powłoką! takie już chorobliwe upodobanie. Doprawdy — zakończyła poważnie, — proszę nie nalegać dłużej, bo stanowczo nie możemy.

— A pan co nam odpowie? — zapytała Mewa Jura.

— Moja siostra odpowiedziała za mnie, — rzekł, kłaniając się.

— Co za uparte rodzeństwo! — zawołała Mewa. — Ale ja także jestem uparta — i nie dam tak łatwo za wygraną: będę zdobywać szturmem tryglodytów w ich jaskini! A może pani odmówi mi swojej gościnności?

— Ale cóż znowu! bardzo proszę! — rzekła Malwa.

— Szczerze?

— Najszczerzej. A na dowód szczerości przypomnę pani, że tylko w porze wieczornej mam czas przyjmować łaskawych gości.

— Czy i ja także będę mógł czasem sko-

rzystać z gościnności pani? — zapytał Wielolecki ze słodkim uśmiechem.

Malwa odpowiedziała tylko lekkim ukłonem, bo nie podobał jej się sposób, w jaki stary galant ogarniał ją wzrokiem.

Gdy Mewa ubierała się z pomocą Malwy, Zygmunt podszedł do Jura, podającego płaszczyk Klarze, i ściskając mu rękę na pożegnanie, rzekł serdecznie:

— Mam babkę i dziadka, którym bardzo byłoby miło poznać pana. Niech pan zapyta o nich kanonika i pannę Klarę, a potem mam nadzieję, że nie zechce pan odmówić mojej prośbie.

Jur spojrział pytająco na Klarę, a ta rzekła do Zygmunta:

— Właśnie w przyszłą niedzielę wybieram się odwiedzić państwa Nabrzeskich, i obowiązuję się dostawić im pana Jerzego.

Wysadziwszy Klarę przed plebanią, Wielolecki rzekł w powozie do córki:

— Zdaje mi się, moja Mewuś, żeśmy się zbyt zagalopowali pod wrażeniem chwili, bo coby było, gdyby tak ci Kaliniecy przyjęli naszą inwityację?

— Cóżby było? — odparła wesoło. — Oblekliby się w niedzielne szaty i wyglądałoby w naszym salonie, jak rodzajowy obrazek. Dla większego efektu posadziłabym ich pod tem dużym płótnem: „Powrót z jarmarku.“

— Wyobraź sobie tylko, że podczas ich wizyty wchodzi do salonu ktoś z towarzystwa: naprzykład pani Mimi!

— To byłoby paradne! umarłabym ze śmiechu! Zyguncie! — zwróciła się do siedzącego przed nią narzeczonego — wyobraź sobie scenę prezentacji Malwy twojej matce.

Zygmunt zsunął brwi i nie odpowiedział.

— Naturalnie — mówiła dalej, — że okazali dużo taktu, wymawiając się od rewizytowania nas. Z tem wszystkim cała ta historia bawi mnie niesłychanie — i naprawdę mam zamiar zwracać czasem moje spacerki w stronę Zielonej Zagrody.

— Zapewne... nie będzie w tem nic tak dalece niestosownego... Jednakże zważywszy rzecz z punktu widzenia ścisłej przyzwoitości, wypada, abym ci czasami towarzyszył, — wyrzekł z powagą troskliwy ojciec.

Mewa poklepała go po ramieniu.

— Papeczko! — zawołała, śmiejąc się, — bywasz na wskrós przeźroczyści! Malwa jest przystojna, a w Obrywinie nudno, — i w tem cały sekret twojej ścisłej przyzwoitości!

— Co też ty wygadujesz, trzpiocie! — rzekł ojciec, uśmiechając się pobłażliwie, i gestem zdobywcy podkreślił farbowane wąsy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DEOTYMA.

NAD MODRYM DUNAJEM.

(Z POEMATU „SOBIESKI POD WIEDNIEM“).

(Ciąg dalszy).

Ciężej szło w dole, z obroną wylomu.
Tu już pogaństwo i drabin nie wlekło;
Byle przejść fosse, a było, jak w domu;
Prawda, że przejście stanęło za piekło.
Dwoisty ogień ostrzeliwał gruzy:
Z muru kartacze, z baszty arkabuzy.
Lecz nie Janczarom lękać się płomieni!
Wór pełen piasku wkładali na plecy,
Puklerz na głowę, i w kłębek skuleni,
Lecieli, jak ćmy do świecy.

W głębi, co prawda, stoją Muszkietery,
Lecz śmierć i dla nich nie mniej była szczodra,
Ziemia od białych mundurów się śnieży,
Gwido Pułkownik nadbite ma biodro.
Ci, którzy stoją, na czas liczą krótki.
Przy bandoletach wisiały im tutki,
Nabojów pełne; te już pozrywali.
Przyjdzie im chyba walczyć na pałasze,
A kto z Janczarem białą broń odpasze,
Ten rzadko głowę ocali.

Nim okrążyli skaliste meandry,
Połowa legła. Komu «przeznaczono»,
Ten brzegu dopadł skokiem Salamandry.
Tu się zczepiali w pęk, jak winne grono,
I tarcze zbiwszy na chyl, w łuski karpie,
Szli, przytupując, po sypkiej eskarpie.
Już ten dach srebrny wysuwa się z fossy.
Tarcze w dół! Dosyć pelzania kryjomie!
Już ich tu skośne nie dosięgną ciosy.
W górę twarz! Są na wylomie!

Jednak stanęli znowu nieruchomie;
Reszty nabojów szeregami padły.
Bój się rozwichrzył po całym wylomie,
A na wyżynie, Kommendant przybladły,
Mówił do Sztabu: — «Piękny widok taki!
«Już ten Regiment odparł trzy ataki.
«Zmogli Azabów, i Janczarów zмога.
«O..... czwarty atak!..... Bać się niema o co,
«Jednak już chciałbym posłać im z pomocą,
«Tylko namyślam się, kogo?»

Rümlingen z noszów krzyknął: — «Grenadjerzy!
 «Tych posłać! Hrabio, pójdz za radą moją.
 «Turcy najwięcej granatów się boją.»
 — Starhemberg fuknął: — «Tu właśnie złe leży.
 «Brak nam granatów. Nie czas na zaczepki.
 «Każdy by dostał ledwie pół torebki.
 «Już od godziny wciąż posyłam po nie,
 «A te leniuchy, te kpy w Arsenale,
 «Marudzą! Ja tu się mało nie spałę.
 «A niech ich piekło pochłonie!»

Gdy się tak zżymał, weszli na plac bójki,
 Ludzie brunatnym habitem okryci,
 Chudzi, jak wióry, Bracia Minoryci.
 Szli szeregami, powiązani w dwójki,
 A każda dwójka, podwinąwszy szaty,
 Niosła na drągu wór długi, pękaty,
 Jak ten winograd, pod którym aż słabła
 Znużona ręka Mojżeszowych gońców.
 Kommendant krzyknął: — «Ach, na koniec końców!
 «Czemuż tak późno u djabła?»

Starszy Braciszek naciągał powrózek
 U zmiętą szaty, i mówił zdyszalały:
 — «Te worki dawno, dawno już czekały
 «Na Nowym Targu, ale cóż? Powózek
 «Nikt nie mógł przepchnąć przez natłok takowy.
 «Ażeśmy poszli po rozum do głowy.»
 — Rozwarto worki. Wnet kołem szerokiém,
 Kielmanseggowe gruchnęły granaty,
 Małe banieczki barwy popielatęj,
 Z otworkiem, co zwał się «Okciem.»

Z początku, glina budziła pogardę;
 Lecz doświadczone, że wybuch nie myli,
 I że skorupy są nad podziw twarde.
 Dzisiaj, szły górą. W lot je rozchwycili
 Grenadjerowie, lud słynny, tak z mocy,
 Jak ze zręczności, a wszyscy wysocy;
 Tém niby wyżsi, że mieli u głowy
 Straszne bermyce, ubrane w tyjarę
 Ze złotęj blachy; na łunie kruszcowej,
 Kręciły się Orły kare.

Ledwie żołnierze napchali tornistry,
 Ludność do worków rzuciła się hurmem,
 Bo nauczony dwumiesięcznym szturmem,
 Wiedeń tak zmańdrzał, że już i filistry
 Miały swych mistrzów, co bez musztr ni batów,
 Posiedli sztukę rzucania granatów.
 Choć zapas gałek był jeszcze niemały,
 Wszystkie wybrano z pośpiechem gorączki.
 Nawet dziewczęta w fartuch je sypały,
 I roznosiły, jak pączki.

Hej! Czém zapalić lont? Drzazga błysnęła.
 Wraz, jak w kościele, na Gromniczne święto,
 Setki wojennych gromnic zażegnęto.
 Już ten i owy bierze się do dzieła;
 W Oko granata zapalnik zatyka,
 Zwolna przybliża lont do zapalnika;
 Pełną nad bańką płomyczek znikomy,
 I drżąc na dłoni Grenadjera świta,
 Smutny, jak lampka z Katakumbnej Romy.
 Lecz w smutku, złość jest ukryta.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pogadanki pedagogiczne Narcyzy Żmichowskiej,

w opracowaniu WANDY ŻELEŃSKIEJ.

Słowo wstępne.

W miesiącu styczniu 1862-go roku, mieszkająca naówczas w Warszawie Narcyza Żmichowska, znana pod pseudonimem Gabryeli, zgromadziła koło siebie grono młodych kobiet, żądnych światła i pracy, i w pogadankach pedagogicznych dała im wskazówki na drogę życia. Między słuchaczkami znajdowały się jej uczennice i bliskie krewne, oraz przyprorowadzone przez nie znajome. Liczba ich, o ile sobie przypominam, nie przechodziła dwudziestu osób. Nazywając wykłady te „pogadankami,” pragnęła Żmichowska wywołać pewne ożywienie naukowe, chciała wciągnąć młode kobiety w poważną rozmowę o zadaniach życia, o książkach przeczytanych, o za-

kresie działalności niewieściej, bo wtedy mówiło się jeszcze wiele o emancypacji i nazywano często „emancypantką” każdą samodzielną, chcącą się wyswobodzić od krepujących przesądów, jednostkę.

Ten kurs zbiorowy, poświęcony pedagogii, był wówczas faktem wielkiej doniosłości; w tej formie odbywany, o ile wiem, dotychczas jeszcze odosobniony pozostał.

Pomijając nawet urok otaczający imię wielkiej poetki, przedmiot wykładów budził wielkie zaciekawienie. Pedagogika, zajmująca tak żywo ogół myślących kobiet naszych, niegdyś przerażała swoją poważną nazwą, budzącą uszanowanie, które graniczyło niemal... z obojętnością. Pedagogikę zostawiano pedagogom. Matki rządziły się w wychowaniu sercem i instyn-

ktem tylko. Rezultaty wykazywały, ile traciło na tym systemacie, a raczej na tym braku systematu, młode pokolenie.

Narcyzie Żmichowskiej, którą ogół znał więcej, jako poetkę, aniżeli jako myślicielkę i nauczycielkę, sprawa wychowania przed wszystkimi innymi leżała na sercu. Gdy „Wykład Nauk” ukazał się w handlu księgarskim, nie istniały jeszcze liczne podręczniki pedagogiczne, które dziś tak ułatwiają naukę z dziećmi. Nieoceniony ten towarzysz matek i nauczycielek, był bodaj czy nie pierwowzorem owych *metod pogładowych*, owej *nauki o rzeczach*, obecnie tak rozpowszechnionych.

Gabryela wykazała, że *rozmowa* jest przygotowaniem, kluczem do wszelkiej nauki i najprostszym środkiem wtajemniczenia dziecka

w nowe światy, sposobem naturalnym, ciepłym, za pomocą przechodzenia od rzeczy bliższych do dalszych, od znanego do nieznanego, od atomu do nieskończoności. Wykład nauk Narcyzy Żmichowskiej, wraz z nauką geografii, zawierającą w dwóch obszernych tomach nadzwyczajnie zajmujące i barwne opisy, skromnie przez autorkę „geograficznymi wiadomościami“ nazwane, jako dzieła drukowane, przystępnymi są wszystkim. Nie o nich też mówić mamy, tylko o „Pogadankach“, będących szeregiem odczytów, a raczej na podstawie małej notatki improwizowanych przemówień, których przedmiotem głównym: wychowanie.

Słuchając tych słów pięknych i rozumnych, nacechowanych zawsze wyższą myślą, namiętnem ukochaniem prawdy, dobra i ziemi oczystej, myślałam z żalem o tych wszystkich kobietach, które szczęścia mego nie dzieliły i nie znały Narcyzy. Zdawało mi się, że *powinno* podzielić się koniecznie tak silnym wrażeniem. Obowiązek względem drugich kamieniem ciężym mi na sercu. Postanowiłam spożytkować robione na razie notatki, odtwarzając jak najwierniejszy obraz wykładu, lubo dosłownie powtórzony, nie zadawał mi w tej formie; zniknął czar cudnego słowa, uleciał ożywiający wszystko duch poetki... To mi odejmowało odwagę ogłoszenia mej pracy, gdy jednak nie o formę artystyczną, ale o treść samą idzie, o *myśli*, które zginąć nie powinny, które należą się wszystkim, a zwłaszcza młodym kobietom polskim, dzielę się z wami drogocenną pamiątką po najszlachetniejszej i najgenialniejszej naszej poetce. Na drodze pracy naukowej i pedagogicznej staną się niejednej z was objawieniem i światłem. Ja zaś tylko pragnę, by jej słowa były zawsze zrozumiane w tym duchu, w jakim wypowiedziane zostały.

W gronie młodych kobiet, których część pewna zawodowi nauczycielskiemu poświęcić się miała, z niezmiernem bogactwem słowa, z miłością, przepelniającą to wielkie serce, kochające „za tysiące“, przystąpiła Narcyza Żmichowska do tych odczytów, których wspomnienie zachowujemy wszystkie w żywej, wdzięcznej pamięci. Podarowała mi na własność, do *dowolnego użytku*, swoje notatki spiswane; trochę rozeszły się po świecie, bo każda niemal z uczestniczek starała się posiadać je w odpisie. W ostatnio wydanych „Myślach“ znajdują się nawet niektóre wyjątki, ale w całości „Pogadanki pedagogiczne“ ukazują się po raz pierwszy w druku.

Pragnęłam koniecznie, by Gabryela przejrzała je, uzupełniła, do tego jednak nakłonić się nie dała, jak w ogóle do pisania. Były lata, w których o tem nie mogło być nawet mowy. „Skoro masz przekonanie, że się „Pogadanki“ na cokolwiek zdać mogą — pisała do mnie, — oczywiście godzi się zrobić z nich to, co dobrem być może — masz. Bez najmniejszej autorskiej pretensyi upoważniam cię do tego, daruję ci na własność wszystkie moje myśli ówczesne.“

I oto staję przed czytelnikami „Bluszczu“, niosąc im plon obfity tych głębokich, pięknych, przeznaczonych myśli, *podarowanych* mi na własność.

Wszak przysłowie twierdzi, że „lepiej pó-

źno, jak nigdy.“ Niechże ono mnie usprawiedliwi.

Trzeba sobie uprzytomnić tę chwilę nieporównanego uroku, zetknięcia się ze znakomitą autorką „Poganki.“ Słyszało się niejedno o jej pismach, o jej pięknie, poświęconem życiu. Myślało się ze drżeniem obawy i nieśmiałości o tem, że się ją ma poznać osobiście. Aż tu na pierwsze spotkanie tych cudownych ciemno-szafirowych, tak wymownych oczu, przejmowało ciepło serdeczne i jakaś dziwna powaga. Zdawało się, że samo zbliżenie się do Gabryeli już obowiązuje. Chciałoby się zdobyć na siłę moralną spełnienia jakichś dobrych, wielkich czynów... Chciałoby się zasłużyć na jej uśmiech, na pochwałę, na spojrzanie tych dobrych, promiennych oczu.

Dziwny wpływ wywierała osobistość Narcyzy, od której biło ciepło moralne czystej, świętej duszy. Otaczający ją, czuli się tak małuczkami pod względem wiedzy, charakteru i zasług, w zestawieniu z imponującą tą osobistością, a ona była tak skromna, tak mało o sobie trzymająca... Ale serce pełne życzliwości od razu obejmowało ukochaniem nie tylko jednostkę, lecz całą rodzinę, cały otaczający świat. Pamiętam, jak mówiła, że od człowieka zależy, by mu jasno i ciepło było w życiu, im więcej obejmie przedmiotów ukochania. A opierając się na porównaniu, rzekła: „Im więcej w koło siebie rozpalisz świec, lamp, kandelabrow w salonie, tem ci jaśniej będzie. Otóż tak samo w życiu — jaśniej ci będzie, im więcej ludzi obejmiesz ukochaniem swoim.“

Jeżeli stawiamy imię Narcyzy Żmichowskiej obok imion pierwszorzędných naszych wieszczów, nie czynimy tego jedynie z powodu porywającego jej talentu i wysokich ideałów. Prawda, że braciom orłom nie sprostała w locie myślą podniosłą i śmiałą, ale bogate serce kochało za miliony. „Ja kochać pragnę więcej, jak drudzy!“ — wołała Gabryela w wierszu do Imionnika przeznaczonym. I mówiła dalej:

«Wolę być dzieckiem, między drobnymi,
«Wolę być *ciepłem ziarnem* w mej ziemi,
«Niż gdzieś daleko, choćby wysoko,
«Choćby przy słońcu — martwą opoką.»

Było też coś słonecznego w jej osobistości; umiała słowem silnego przekonania ciemności rozświecić, rozgrzać serca, przenikając je gorącą żądzą prawdy i światła, ztąd też przykuwała do siebie ludzi pokrewnych duchem, najosobistszym, wyłącznym stosunkiem. Życiem całym wyobrażała ową prawdę wcieloną, którą stawiała za ideał drugim, a od której nigdy ani na krok nie odstępowała.

Gdy pierwsze swoje „Pytania“ drukowała w gazetach, zdawało się, że je rzuca całemu społeczeństwu — ona, która byłaby chciała wszystkich do pracy wytrwałej i hartownej pociągnąć, stworzyć ludzi dzielnych i poświęconych obywateli. Badając własne sumienie, tak się w poufnym zwierzeniu o tem wyrażała: „Dawniej pisałam z potrzeby wypowiedzenia głębokiego przekonania, potem z potrzeb okolicznościowych, żeby dać znać o sobie dalekim ludziom, z którymi nigdy spotkać się nie mogłam, chociaż wierzyłam, że istnieją.“

„Hej! jest tam kto, co chce na Królestwo Boże pracować, żeby przyszło? Jest tam kto?

I ja tu jestem. A później, gdy się zdawało, że towarzysze znalezieni, trzeba było stanąć po ich stronie, jednym bez ogródki powiedzieć: „Ja nie z wami,“ drugim: „Czy wy ze mną?“

I dalejże stwarzać te cudne i niezrównane typy, którym czegoś brakuje wszystkim i dla tego są takie ludzkie, takie prawdziwe. Istny cmentarz dobrych zamiarów i świętych postanowień. Nikt nie dotrzymał żądanej miary.

Gabryela, młoda poetka, biorąc pióro do ręki, nie widzi koło siebie ludzi skończonych i dzielnych. I kogoż postawić u pługą?... Bezmyślni, apatyczni, lub marzyciele i niedołężni. Ach! — zdaje się wołać z rozpaczą, — czyż doprawdy innych nie mamy? Jakież smutek na dnie każdej powieści, a raczej każdego urywku z życia, każdego szkicu portretowego, ujętego w ramy artystycznie wykwiłtne. Tyle cnoty, tyle miłości, tyle gorących pragnień, tyle świetnych marzeń — i cóż z tego wszystkiego? Pęknięte, rozdarte serce. I rzuca na pociechę wstępny obrazek z „Poganki,“ ideał rodziny — kreśli postacie pełne uroku, jej tylko właściwego, z namaszczeniem, z natchnieniem artystki.

Skarby poezji Gabryeli znane są i przystępne wszystkim — ale skarby jej serca, wielkość charakteru, głębokość myśli, zajętej wyłącznie sprawami ważnymi, ogólnymi, ujawniają się tem dobitniej, im więcej ją poznajemy w korespondencyi i w pozostawionych myślach. To, o czem wiedziała garstka uwielbiających ją przyjaciół, co stanowiło aureolę znakomitej autorki-obywatelki, staje się własnością całego społeczeństwa. Gabryeli idealna postać, uplastycznia się w świetle potajemnych zwierzeń, szeptanych ukochanym.

I złe, i dobre, i grzech mój, i cnota,
I czego pragnę, i czego się boję —
I myśli moje, i modlitwy moje —
I życie całe — to tylko tęsknota!

A tajemnicą tej tęsknoty, tej męki serdecznej, tego wyczerpania, tej cichej rozpacz, stan ogólny, ogólne cierpienia... Jakże silnie znajduje wyrazy na określenie obowiązków. „Ludzie odpowiedzialni za ton i ważność każdego jawnie wyrzeczonego słowa, powinni tak mówić i pisać, „żeby aż iskry z mózgow i serc bratnich wyprysły.“ Powinni się odzywać tak stanowczo, jak Paweł św. Apostoł: „Gdzież tam choć jedno drgnienie niepewności, choć półcień wątpliwego dociekania? Apostoł wszystko wie, widzi, głosi. Był w trzecim Niebie, słyszał słowa, których śmiertelnym jeszcze powtarzać nie wolno; ma zapas objawienia, prawdy, przekonania, ma fundusz, którego nie wyczerpie nigdy.“

Zdaniem Gabryeli, w obecnej chwili najpotrzebniejszą jest dla ducha naszego taka *stanowcza pewność*. „Ach, ten Paweł św. — woła, — to moja pociecha i rozpacz moja; to doskonałość, która mnie ciągle ku rzeczywistości swych wzorów popycha, i niepodobieństwo, które mi ciągle ich niedoścignioną wyższością w bezczynności zatrzymuje. Kiedy myślę o tem, co czynić trzeba, jak działać powinnam, — kiedy nad potrzebami obecności się zastanowię, kiedy zamiary prac ogólnych rozważam, zawsze z każdej ścieżki do niego wracać muszę. On jest systematem najdokładniejszym; jeżeli dobrego nie wyczerpnął, bo dobre jak Bóg, na wieki wieków nie

przeczerpnięte zostanie, — przynajmniej wszystkie sposoby dojścia ku dobremu, wyzyskiwania dobrego, wynalazł, ogarnął i użył.“

To wczytywanie się w Pismo Święte, to rozmiłowanie się w tej księdze mądrości, jest jednym więcej dowodem, że ta dusza była na wskrós chrześcijańska i unosiła się na wyżyny. Widnieje to w pismach Gabryeli, w „Pogadankach“, w „Listach“, ale najbardziej widniało w jej przeczystem życiu. Napisała i słowa modlitwy, które również postaram się przekazać czytelnikom „Bluszczu“, pragnąc, by były w każdym sercu, na zawsze, wyryte.



Módl ty się za mnie...



Módl ty się za mnie, bym w ducha rozterce
Pozostał wierny swoim ideałom,
By mi nie pękło czasem smutne serce,
Rzucone kędyś za światowy załom,
Na nowe bóle, cierpienia bez końca;
Módl ty się za mnie, abym na lazurze
Mógł się rozpląnąć w złoty strumień słońca,
Albo się rozwiać w snów błękitnych chmurze
I nad globami, co w eterach wiszą
Błąkać się mgłami i wieczystą ciszą...

Módl ty się za mnie, bym idąc przez życie
Wśród burz potężnych i strasznej zawiei,
Powoli zdeptał złote, złudne śniecie,
A szedł do słońca, do zórz, do nadziei
I mógł odgadnąć tęsknot tajemnicę.
Módl ty się za mnie, by gwiazdy na niebie
Przestały świecić, jak złote gromnice,
By przed mym duchem, co stoi wylękły
Kajdany ziemskiej zbrodni wreszcie pękły!

Z. Różycki.



A. HUE.

RUSKIN I KOBIETA,

tlómaczyła

Zofia Hartinghova.



Jakkolwiek od lat kilku dzieło Ruskina znane jest u nas w szerszych swoich zarysach, imię jego dalekiem jest jeszcze od tego rozgłosu, jaki osiągnęło w Anglii, gdzie dyrektor pensjonatu dla młodych panien, w oficjalnej przemowie wygłosił zdanie, iż wiek XIX-ty dlatego poczytywany będzie za sławny, iż wydał na świat Ruskina. Paradoksalne zaś oświadczenie to nie wywołało żadnego protestu ze strony obecnych.

Prosty ten fakt daje miarę przewagi umysłowej i moralnej, jaką wywierał na współczesnych ten artysta, estetyk, który był zarazem moralistą i socjologiem, publicystą i mówcą, marzycielem i człowiekiem czynu. Apostołał bowiem przykładem, i jeżeli uczniom swoim przykazywał miłosierdzie, sam rozdał pomiędzy ubogich pięć milionów, które odziedziczył po ojcu.

Jeżeli zaś dzieła jego, traktujące o najwyższych zagadnieniach filozofii i sztuki rozpo-

wszechniły się pomiędzy ludem, jeżeli urok ich i powodzenie były tak wielkie, że w całych Stanach Zjednoczonych zawiązały się stowarzyszenia w celu czytania i komentowania ich, to dlatego, że autor «Sezamu i lili», krzewiciel piękna i zapалу, był sam pięknym entuzystą i że ten olbrzym, który podniósł gromki głos przeciw postępowi i brzydocie, wytworzył przewrót w pojęciach współczesnych, opierając się na miłości, pierwiastku piękna, oraz obwieścił światu przysze królowanie kobiety.

Światowe damy wysłuchały go z pewnem zajęciem, udając, że go rozumia, choć słowa jego i zasady nie były w niczem podobne do pieściwych dźwięków i rozmów salonowych, które toczą się wśród odpoczynków walca. Aby jednak dokonać takiej rewolucji w dotychczasowych utartych wyobrażeniach, trzeba było, aby urok teorii Ruskina był bardzo potężnym i głęboko sięgającym we wszystkie warstwy społeczne. Rozpatrzmy więc pokrótce jego zapatrywania się na kobietę, rady jego, przepisy, przestrogi, rozrzucone w olbrzymim dziele, które zaczął pisać w piętnastym roku życia, a dokończył w ośmdziesiątym. Z nich przekonamy się, jaką rolę przeznacza on kobiecie w domu i społeczeństwie, i jakie wychowanie, zdaniem jego, przysposobić ją może do spełnienia podwójnego tego obowiązku.

I.

«Zechciejcie teraz zastanowić się ze mną — mówił Ruskin na jednej ze swoich konferencji w Oxfordzie w r. 1865-ym — jaki rodzaj królewskiej władzy, wynikającej ze szlachetnego wychowania, przystoi kobiecie; w jakiej mierze powołane one są do rozciągania panowania swego nie tylko nad domownikami, ale i nad wszystkim, co je otacza; w jakim znaczeniu wreszcie wpływem wdzięku swego i dobrze zrozumianej dostojności wytwarzać mogą ład i piękność w daleko sięgającym obrębie swego królestwa.

Ale żeby określić ich władzę, aby wiedzieć, jak się przyspasabiać mają do godnego piastowania jej, trzeba nam przedewszystkiem porozumieć się co do istoty tejże władzy oraz rzeczywistych i ciągłych obowiązków, jakie ona pociąga za sobą.

Słyszemy, jak mówią o *missyi* i *prawach* kobiety, jakby te oddzielne być miały od *missyi* i *praw* mężczyzny, jakby ona i władca jej były istotami dwóch różnych i niezależnych od siebie gatunków, używających zgoła odrębnych przywilejów. Jest to błędne i nierozsądne mniemanie, zarówno jak i twierdzenie, że kobieta jest tylko cieniem i odbłaskiem władcy swego i pana, że winna mu jest ślepe i bierne posłuszeństwo, i że słabość jej opiera się całkowicie na wyższości i przewadze ducha męskiego.

Nie jest-że to najniedorzeczniejszy z błędów popełnianych względem istoty stworzonej na to, aby była współpracowniczką mężczyzny? Godziż się bowiem przypuścić, aby tenże mężczyzna mógł mieć pożyteczną pomoc z cienia, albo być z godnością obsłużonym przez niewolnicę?

Czyż raczej nie należy wnosić, że inteligencja i cnota niewieścia zespolona z temi sa-

memi zaletami mężczyzny, wzmocni i spotęguje siłę, honor i powagę obojga?

Jeżeli chcemy dowodów tego, poszukajmyż ich w arcydziełach sztuki, «do których zawsze powinniśmy się zwracać, kiedy nas zawodzą nasze wiadomości, albo zmysł spostrzegawczy, aby one rozszerzyły przed nami widnokrąg myśli i wyroki sędziów minionych epok przeciwstawiły naszym oderwanym i zmiennym poglądom.»

Jeżeli w Shakespearze znajdujemy trzy złe kobiety: lady Makbet, Gonerilę i Reganę, to czujemy odrazu, że stanowią one wyjątek od ogólnej normy. Jedna tylko Ofelia jest istotą słabego charakteru, i chwiejność jej właśnie przeszkadza jej kierować Hamletem i zapobiedz okropnej na końcu katastrofie. Za wyjątkiem wyżej przytoczonych przykładów, w każdym dramacie wielkiego poety, katastrofa jest zawsze wynikiem szaleństwa lub zbrodni mężczyzny, wtedy gdy odkupienie zawdzięcza on mądrości i cnocie kobiety.

Niecierpliwość Romea obraca w niwecz przebiegle obmyślany plan Julii. Otello pomimo ogromu swojej miłości, któryby mógł uczynić zeń bohatera, jest tak umyślowo ograniczonym, że Emilia, umierając, rzuca mu to świadectwo jego błędu: «O! głupi zbrodniarz! Cóż taki niemądry człowiek mógł mieć wspólnego z tak dobrą kobietą?!»

W «Miarka za miarkę» brutalna niesprawiedliwość sędziego i nikczemność brata przeciwstawione są zwycięskiej szczerości i krystalicznej czystości duszy kobiety. W «Koryolanie» rada matki, usłuchana w porę, byłaby ocaliła syna od zguby. Cóż wreszcie powiedzieć o cichej, pełnej zaparcia mądrości tego niewinnego dziewczęcia Porcyi z «Kupca weneckiego», która jak geniusz dobroczynny unosi się po nad zaciętą walką rozpętanych namiętności ludzkich, podniecając obecnością swoją odwagę upadających na duchu, wnosząc z sobą spokój i bezpieczeństwo, zapobiegając zbrodniczym spiskom przez te właśnie zalety, których powszechnie zaprzeczają jej płci, mianowicie: jasności i trzeźwego poglądu na rzeczy.

U bohaterek Walter-Scotta niechybny instynkt sprawiedliwości i godności wrodzonej, łączy się z przywiązaniem, rozsądkiem i duchem zaparcia, wielokrotnie obowiązek upomina się o swoje prawa.

W Scott'cie, zarówno jak w Shakespearze, kobieta dzięki swojej czystości, rozumowi i jasnowidzeniu, prym trzyma nad mężczyzną, kieruje nim i otacza go swoją opieką. A czyż można przypuścić, aby ci wielcy pisarze przystajali tylko lalki w strzępy swojej fantazyi, niezgodnej z rzeczywistością?

Zwróćmy się zresztą do historii. Pierwszą podstawą rycerskiego kodeksu było poddanie się bierne rycerza rozkazom, a nawet kaprysom swojej damy.

— Ci, którzy stworzyli ten zakon — pisze Ruskin w «Sezame i liliach» — wiedzieli dobrze, że każde prawe i szlachetne serce znajduje impuls potrzebny do czynu w ślepej uległości wybranej swojej damie; że tam, gdzie nie istnieje ta wiara i poddanie się, rozpasane i najniższe namiętności ludzkie wezmą zawsze górę, i że to entuzjastyczne powodowanie się jedyną miłością zarania życia uświęca siły

mężczyzny i daje mu wytrwałość w przedsięwzięciach.»

Jeżeli zwracają uwagę Ruskinowi, że w niektórych wypadkach kobieta nie jest godną takiej uległości, to odpowiada on, «że powinno być niemożliwym, i w gruncie rzeczy jest niemożliwym, aby człowiek wielkiego serca ukochał kobietę, na słodkim zdaniu której nie mógłby w zupełności polegać.»

Dama, opasująca puklerzem pierś swego rycerza, to nie czczy wymysł romantycznej mody, ale symbol prawdy wieczystej. Pancierz duszy nigdy tak szczelnie nie przylega do serca, jak kiedy dopasuje go ręka niewieścia; a wtedy tylko, gdy czyni to niedbale, mężczyzna zatracą swój honor.

Oto piękny wiersz Coventry Patmore, który wszystkie młode dziewczęta powinny sobie powtarzać:

«Al marnotrawna kobieta! Ona, któraby mogła na wdzięczną swoją osobę nałożyć jakąkolwiek cenę, wiedząc, że mężczyzna nie ma innego wyboru, jak zapłacić — dlaczego raj sprzedawała tak nisko? Dlaczego oddała za nic nieoszacowany dar swój? Dlaczego roztrwożyła chleb i wylała wino, które rozdawane w mierze, zamieniłoby zwierzęta w ludzi, a ludzi w bogów?»

Wszystko to słusznym jest, c ile dotyczy stosunku dwojga kochanków, «ale o czem wątpimy zbyt często, to o możliwości przedłużenia tego stanu rzeczy przez ciąg całego życia. To znaczy, że zgadzamy się składać kobiecie hołdy czule i pełne szucunku, póki wątpimy jeszcze o jej wzajemności i póki nie znamy dokładnie jej charakteru, ale że cofamy ten hołd i uszanowanie, kiedy miłość jej oddaje nam ją całkowicie i bez żadnych zastrzeżeń, a charakter jej został tak wypróbowanym, że nie wahamy się powierzyć mu szczęścia całego naszego życia. Czyż nie czujecie, jak niskim i niedorzecznym jest takie rezonowanie? Czyż nie czujecie, że małżeństwo tak, jak powinno się je pojmować w całej swojej wzniosłej czystości, jest tylko pieczęcią, spajającą śluby doczesne z wieczystymi i zamieniającą przelotne upodobanie na wieczny nierozzerwalny związek?

Ale, zapytacie mnie może, jakże ta rola przewodniczki, jaką przeznaczamy kobiecie, godzi się z jej istotną zależnością? Tem, po prostu, że przeznaczeniem jej jest *kierować*, a nie *rozkazywać*.

Niedorzecznym jest mówić o wyższości jednej płci nad drugą, jak gdyby można je porównywać na jednakowym gruncie. Każda z nich posiada odrębne własności, na której zbywa drugiej; każda dopełnia i jest dopełniona przez drugą. Nie są one w niczem podobne do siebie, a szczęście i doskonałość osiągną wtedy tylko, gdy każda z nich żądać będzie i otrzyma od drugiej to, co ona jedna jest w mierze jej użyteczna.

Mężczyzna jest uzdolnionym do czynu, do stwarzania, do wynalazków i obrony. Umysł jego jest spekulacyjny i przedsiębiorczy. Energia jego i inicjatywa powinna się ujawniać na zewnątrz w przygodach, walce, zdobyczy, tam, gdzie one są godziwe i potrzebne. Kobieta przeciwnie stworzona jest na to, aby królować, a nie walczyć. Intelligencja jej nie

jest twórczą, ale zadaniem jej jest krzewić wszędzie ład, spokój i porządek.

W domu męża swego spełnia obowiązki sługi, a w sercu jego panuje wszechwładnie, jak monarchini, Jak królowa też nie opuszcza swego państwa i domowego ogniska; strzeże go i przystraja, czynna dzień cały, a strudzona wieczorem. Życie jej schodzi na pracy, kochaniu i upiększaniu wszystkiego dokoła siebie.

Nie bierze udziału w walce, ani ucześnie na meetingi feministek, ale, podtrzymuje odwagę męża, a po zwycięstwie wieńczy czoło jego gałązką dzikiej oliwy, symbolem skromnego dostojństwa i słodkiego pokoju.

Mężczyzna wśród trudów żywota może nieraz zbłądzić, zachwiać się; doznać zawodów, otrzymać rany, zgorzknąć, stwardnieć na sercu, — ale żonę swoją strzedz będzie przed temi niebezpieczeństwami. Wewnątrz domu swego nie przypuści pokusy, ani przyczyny błędu lub upadku własnego, bo dlatego, aby dom ten stał się prawdziwym *ogniskiem* rodzinnym, trzeba, aby był przystanią pokoju i aby każdy czuł się w nim bezpiecznym przed złem, trwogą, wątpliwością i rozdwojeniem wszelakim. Jeżeli rozterki życia zewnętrznego przenikną do tego schroniska, jeżeli obcy, obojętni, nieznanymi, ci, których serce jest lekomyślne a umysł wrogo usposobiony, [przystąpią progi z zezwoleniem męża lub żony, wtedy dom przestaje być arką rodzinną. Staje się tylko częścią zewnętrznego świata, nad którą wzniesiono dach i rozpalono ognisko.

Dom rodzinny powinien być koniecznie miejscem poświęconem, — świątynią Westy, strzeżoną przez opiekuńcze bóstwa, a spojrzenia tych bóstw powinny tylko spoczywać na przyjaznych obliczach.

I wszędzie, kędy idzie prawdziwa małżonka, tam dom przenosi się za nią; mniejsza o to, czy ponad głową ma tylko sklepienie nieba wyiskrzzone gwiazdami, a u stóp swych chłodną murawę przetykaną świętojańskimi robaczkami. Wszędzie pochodnię domową nosi ona ze sobą, i jeżeli jest szlachetną kobietą, to blask jej roztacza daleko w noc ciemną na tych, którzy inaczej zostaliby pograżeni w mrokach. Czyż nie widzicie, że to jest właściwe miejsce i władza kobiety, ale ażeby je godnie piastować, powinna ona być, o ile to możliwe jest ludzkiej istocie, wolną od wszelkiego błędu i skazy. Tak daleko, jak sięga jej panowanie, wszystko powinno iść prawą drogą, albo przestanie iść całkiem. Powinna ona być dobrą stale i niepodlegającą zepsuciu, mądrą instynktownie i niechybnie, bez ograniczonej zuchwalstwem pychy pozabawionej miłości, ale mądrą słodczą i skromną a nie narzucającą się uczynnością; powinna być wszechstronną i nadającą się do wszystkiego, bo na tem właściwie polega charakterystyczna zmienność kobiety. W tem szerokim znaczeniu *la donna e mobile*, nie jako piórko rzucone na wiatr, ani jako cień powstały z drżenia liścia osiny, ale zmienną jest, jak światło rozprysnięte na tysiące tęczyowych przyzmatów, światło, które przejmuje się barwą każdego przedmiotu, jakiego dotyka i rozpromienia ją swoim wewnętrznym blaskiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JUŻ NIE WRÓCI...

PRZEZ

DARWIDA.



— A—a—a! a—a—a! kołysz-że się, kołysz, kołysko lipowa, niechże mi cię Pan Bóg syneczku uchowa... Ci... cicho, moja Karolowa, bo usnął, mój śliczny, mój jedyny! Jaki on piękny, niechno Karolowa popatrz! Jak ja się cieszę, mój Boże, no, niech Karolowa się dobrze przyjrzy, jaki on do pana podobny, jaki coraz podobniejszy! Toż to się Ryś będzie cieszył, bo to doprawdy wie Karolowa, w głowie się nie może pomieścić, to już rok przecie, jak pan nasz pojechał do Paryża na studia i właśnie wczoraj list dostałam, że może dziś, może jutro już do nas powróci... Och, jak ja się wytęskniłam. Ale wie Karolowa, że ja doprawdy jeszcze więcej chyba pana kocham przez tę rozłąkę i tak już drzę na samą myśl zobaczenia go, i tak mi się serce weseli, tak bije, że je muszę ręką trzymać, aby się z piersi nie wyrwało!

Karolowa wie, bo mnie wykołysała i zna od dziecka, że mam taką naturę, że jak kochać, to już całą duszą i na zawsze... do śmierci — ba! do śmierci, a i po śmierci bym go się nigdy nie puściła. Gdybym umarła wprzód, tobym do niego pocichutku przychodziła i pilnowała swego skarbu, tak, jak to mówią, że wielcy skąpcy po śmierci strzegą swoich skarbów.

— E... proszę pani, co to mówić? Juści, że skarby to skarby, ale nie pan, tylko pani. To przecie pani, moja ukochana dziecina, zapomniała, że starsi państwo okropnie tego artysty dla swojej jedynaczki nie chcieli, a pan starszy, to przecie mało nie umarł, tak się biedactwo zmartwiło, bo to z pana Ryszarda przecie był taki szalawila!... Czy to ja nie pamiętam, jak oto chciał się zabijać, chciał uciekać, porywać panienkę, niby moją panią, za przeproszeniem, bo to moja Zosieńka tak się w tej rozczochranej głowie rozkochała, że pamiętam, do nóg panu starszemu się kładła, i temi usteczkami, jak wiśnie, kraj szaty całowała, a prosiła a prosiła: „Tatusiu! tatusiu! ja go kocham!“ Aż się i stało, no i co teraz? Pół roku ledwie upłynęło, a jemu się zawróciło znowu w rozczochranej głowie i nuż porzucać Zosieńkę dla jakiejś tam mazaniny niby obrazów, wyjeżdżać setki mil i na cały rok zostawiać taką słodziutką jagodę!...

— Karolowa, Karolusiu, przecie mnie niania kocha. No co, prawda? to niech nie dokucza... Gdzie też on ma jaką potarganą czuprynę? On jest prześlizny, ten mój Ryś!... że musiał pojechać, no, to zobaczy Karolowa, on teraz powróci sławny, wielki, znakomity, będzie mnie kochał...

— No, dobrze, dobrze!... Niech tam już tak zostanie, ja wiem, że stara Karolowa to już teraz nie ma racji, bo to już nie moja Zosia, tylko pani! Takie tam bo jeszcze też i imię ma ten nasz pan, co nie mogę sobie zapamiętać, ani wymówić... Oto herbata gotowa, naleję, i może się moja ukochana paniusia położyć, bo bardzo, bardzo mizernie wygląda!...

I markotna, jak zawsze od dłuższego czasu, wyszła Karolowa do kuchni, aby nalać herbatę.

* * *

Zadzwoniono. Zosia pobiegła lotem strzały otworzyć.

W przedpokoju było ciemno, tylko światło z drzwi otwartych oblało wysoką postać pięknego mężczyzny. Nie patrzyła na niego, nie przemówiła słowa, tylko rzuciła mu się w ramiona, całowała usta, oczy, ręce, do nóg mu się nachyliła i objęła kolana.

— Dajże pokój Zosiu, *ne faites pas des bêtises*, służący stoi za nami! Takie tragedye!... Przecie nie powróciłem z wojny na wpół żywy... Jestem zdrow na ciele i umyśle! Jestem i zostaję odtąd tu, więc zdaje się dosyć... Ale jak tu ciemno! — mówił, zapalając zapalną. — No, podnieś się, mała... Rzeczy przyjdą jutro, a teraz mam ze sobą to tylko, co wymagało mojej opieki. Ale, ale — zwrócił się do służącego, — tę pakę zanieście zaraz do mojej pracowni i okryjcie po rozpakowaniu starannie płótnem, rozumiecie, starannie!

Zosia usunęła się na bok, a Ryszard, nie zdejmując kapelusza, w długim palcie podróżnym, wszedł do salonu.

— A... a!... — ziewnął, — przepraszam cię, moja mała, to jest, moja żonusi, ale jestem dyabelnie zmęczony i spiący. Wiesz — rzekł, rozglądając się po skromnym salonie, — że u nas jest dość obskurnie, a to *fi donc* co znowu za jakies workowate szlafroczyko! Ale mimo to chodź, to cię ucałuję... No tak!... teraz to co innego, tak spokojnie, po przyjacielsku, bez żadnych szopek... Ale, ale — prawda, nie pytałem się dotąd, co się dzieje z naszym dzieckiem. Jakże się nam chowa?

Zofia stała oszołomiona, nie mogąc przemówić wyrazu.

Wtem weszła Karolowa, która pragnąc zrobić pani niespodziankę, przebudziła małego, wzięła za rękę i stanęła z nim przed panem Ryszardem. Cóż, kiedy malec rozespany skrzywił się niemiłosiernie, a zobaczywszy wielką czuprynę ojca, podniósł krzykliwy lament, czepiając się rozpaczliwie rączkami Karolowej.

— O, moja kobieto, zabierzcież czempredziej te cuda, bo moje nerwy doprawdy nie przywykły do takich niespodzianek!

— Ależ Rysiu — wtrąciła nieśmiało Zosia, — Rysiu, przecie to nasz syn, *nasz*, czy ciebie tam kto odmienił? Jezus Maryja! — mówiła już prawie ze łzami w oczach.

— Moja mała, to jest moja Zosiu, cóż to znowu za osobliwość mieć syna, ot! to każdy flister potrafi... Sztuka, sztuka, to grunt, to gwiazda, to ideał, zaraz się przebiorę i pójdziemy do pracowni, pokażę ci moje prace.

I wyszedł do swego gabinetu.

Zosia patrzyła chwilę za nim, załamała ręce i lzy sznurami pereł popłynęły po młodziutkiej twarzy.

Po chwili powrócił, a wypiszą pospiesznie herbatę, poprosił żonę i zeszedł do pracowni.

Tu przy pomocy służącego rozpakowano obrazy. Ryszard ustawiał je ostrożnie na sztalugach.

Pierwszy obraz przedstawiał portret kobiety z oczyma czarnymi o długich rzęsach, z namiętnie rozchylonymi ustami. Patrzyły te oczy prawie dziko, ale porywająco.

Zofia pomimo woli drgnęła.

Drugie płótno przedstawiało „Kuszenie św. Hieronima.“

Starzec klęczał na skale, a w dali nad nim majaczyła głowa tej samej kobiety, tylko z rozwichrzonymi włosami i z obnażoną piersią.

Po chwili ustaw i Ryszard ostrożnie i z niemym zachwytem płótno z podpisem „Niewolnica.“

Była to znowu taż sama kobieta, tylko zupełnie obnażona, z przewieszoną niedbale skórą tygrysią przez biodra, z rękoma związanymi powrozem, którego węzeł trzymał jakiś wstrętny murzyn. Zosia zaczęła drżeć na całym ciele, aż w końcu jęknęła głucho:

— Rysiu, na miłość Boga! Ja tego chyba nie przeżyję... Wytłómacz się, co to wszystko znaczy?

Ryszard zwrócił na nią oczy zdziwione, a spostrzegłszy jej bladłość, wzruszył ramionami i rzekł z pewnem jakby politowaniem w głosie:

— To jest przecie mój model! To znana wszystkim w Paryżu modelka, Włoszka Grisi, pyszna kobietka, z którą miewamy nieraz sto pociech. No i czego ty się znowu marzysz, moja Zosiu? Ty doprawdy jesteś paradna!... Ty myślisz, że artysta mojego polotu będzie z tobą wiecznie chuśtał synka, albo grał w loteryjkę, albo pod rękę spacerkiem odwiedzał rodziców.

W tej chwili służący pana Ryszarda ustawił nowe płótno, zatytułowane: „Ostatni pocałunek.“

Na łóżku leżała blada, niby umierająca, taż sama modelka Grisi z opadłymi powiekami, a u jej stóp klęczał mężczyzna z powiechrzoną czupryną i gorącymi pocałunkami okrywał ręce umierającej.

Zosia załamała rozpaczliwie ręce, uczuła ból w piersiach. Jakies widmo straszliwe wpiło ostre zęby w jej serce, chłonoło chciwie krew, przymknęła oczy i zdawało jej się, że cała pracownia się oddala, że Ryszard z tego pięknego olbrzyma maleje, niknie prawie w jej oczach... Ale po chwili rozwarła oczy szeroko, prawie bezprzytomnie. Ryszard wciąż pieścił wzrok cudną „śmiercią“ modelki.

Zaszumiało jej w głowie, wszystka krew napłynęła do mózgu... Porwała ostre dłuto, leżące obok paki, rzuciła się, jak zwierzę raniące naprzód — i pchnęła ostrzem w samo serce rywalkę...

Ryszard ocknął się z kontemplacji modelu, kiedy wyczerpana z sił, zemdlona, runęła u stóp jego biedna Zosia...



Ferdynand Hoesick.



NAD WODĄ WIELKĄ I CZYSTĄ...

VEVEVEY.



(Ciąg dalszy)

O, marzyć tu można dowoli! Ale bo też wszystko tu usposabia do marzeń: i wspomnienia poetyczne, przywiązane do tej miej-

scowości, i jej przepiękne położenie, i cisza jaka tu panuje.

O ciszę podobną trudniej nierównie w sąsiedniem Montreux, do którego z Clarens tramwajem elektrycznym nie jedzie się nawet pięciu minut. „Wieś Montreux — pisze w swych „Listach z podróży“ Odyniec — uchodzi za najpiękniejszą z tych wszystkich, które tu w górach, nad brzegiem jeziora, zamieszkiwane są w lecie przez tłumy cudzoziemców, i słynie nadto tak ciepłym klimatem, z powodu gór od północy, że cierpiący na piersi zimę nawet tu przepędzają, a laury, figi, migdały, rosną na prostym gruncie, jak we Włoszech.“ Laury, migdały i figi rosną tu aż po dziś dzień tak samo, jak rosły w roku 1830-ym, gdy tu Odyniec zatrzymał się z Mickiewiczem i Krasińskim, ale po za tem „wieś Montreux“ zmieniła się do niepoznania. Przedewszystkiem wieś urosła do rozmiarów wcale dużego miasta, a wiejskie domki, które tu ongi rozsiadły się na brzegu jeziora, dziś zamieniły się w eleganckie domy i wille, we wspaniałe hotele, jakim podobne widuje się tylko w Nizy lub Ostendzie. Po obu stronach głównej ulicy, którą przebiega tramwaj elektryczny, ciągną się dwa szeregi pierwszorzędných sklepów z przepysznyimi wystawami, nieustępującymi najpiękniejszym paryskim lub wiedeńskim; na ulicy ruch wielkomiński: powozy, elegancie kabriolety, samochody, wyelegantowane kobiety i... kokoty, kawiarnie, cukiernie, kioski z gazetami, mnóstwo Anglików, Niemców i Rossyan, trochę Francuzów, Polaków wcale. Osobliwości żadnych, bo takich tarasów, jak przed tutejszą katedrą, widziało się nie jeden, a choć miejscowy Kursal ma piękny ogród, to jednak wszystko to nie są rzeczy nadzwyczajne. To samo trzeba powiedzieć i o pięknej promenadzie nad jeziorem, która choć ładna, jednak nie może iść w porównanie z promenadą w Vevey. Najsilniejszą *great attraction* jest kolej zębata, którą ztąd wjeżdża się na górę Glion, ztamtąd do wyżej położonego Caux, a ztamtąd pod sam szczyt skalistych Rochers de Naye, z których w pogodę istotnie ma się zachwycający widok na całe jezioro Genewskie i okoliczne góry... Co się tycze samego Montreux, to jest to dziś jedna z najelegantszych miejscowości europejskich, do której jesienią na winogronową kurację zjeżdża się mnóstwo ludzi bogatych, spragnionych nietyle „poratowania zdrowia“ — co zwykle jest tylko pretekstem — ile próżniaczego zadawania szyku. Po za tem jest to bardzo piękne miejsce pobytu, byle tu nie chceć bawić za długo. W przeciwnym razie, dochodzi się do tego samego wniosku, do jakiego już w roku 1830-ym doszedł Zygmunt Krasiński, który uważał, że Montreux jest duszne i nudne. „Nie wiem, co jest w tej miejscowości — pisał raz Krasiński do Reeve'a — ale *mon coeur n'est pas là*, jak powiada Lamartine. Pszczoła, co brzęczy, strumyk, co szmerze po kamkach, to bynajmniej nie godny wtór dla miłości. Miłość wymaga majestatycznej chmury, zwolna płynącej po lazurze, gór nieruchomych i olbrzymich, grzmotu rozlegającego się głosem Stwórcy, błyskawicy rozjaśniającej widnokrąg, rozszalałej fali piętrzącej się nad morskim odmętem; wszystko to, wielkie, groźne, niepowszednie, dobrze

odpowiada duszy namiętnej i burzliwej; ale te półszmery, te ćwierkania owadów, te skrzydła motyle, te wszystkie bemole przyrody nie licują z miłością młodzieńczą, spragnioną burzy i niepokoju. Rousseau, jeśli tak sobie upodobał Montreux, to dlatego tylko, że pisał swoją „Nową Heloizę“ w czterdziestym coś roku życia, t. j. w wieku, gdy spokój natury wpływa już kojąco na zmęczonego nieco ducha.“ To jest powodem, zdaniem autora „Irydyona“, że Montreux mogło natchnąć Rousseau'a do napisania deklamatorskich listów dwójga serc czułych, ale młody poeta, którego dusza rwie się w błękity, napróżno będzie tu szukał natchnienia...“ Jakoż istotnie w poezji, choć tylu tu poetów bawiło różnemi czacy, Montreux nie ma swojej osobnej karty. Słowacki, choć bywał tu przez czas jakiś codziennym gościem, raz jeden poświęcił tej miejscowości parę słów, i to obojętnych zupełnie. „Chodzę na obiad do pobliskiej wioski Montreux, ale jestem bardzo samotny, bardzo samotny. Co dnia, idąc na obiad, przechodzę około ślicznego kościółka, otoczonego kwiatami. Bluszcz się wije po szarych gotyckich ścianach, pełno róż i jaśminu pięknego wokół, ławki, mur kościelnego dziedzińca porosły błękitnymi dzwonkami, a z muru najpiękniejszy widok. Oko biegnie po zaroślach i zielonej spadziści na zwierciadło jeziora... Jak dobrze modlić się w takim kościółku, jak dobrze ludziom, którzy w nim modlą się od kołyski aż do grobu!“

Było to w lecie roku 1835-go. Mieszkał wtedy Słowacki w pobliżu Veytaux, dokąd „uciekłszy“ przed urokiem Maryi Wodzińskiej, przeniósł się na parę miesięcy z Genewy. Miejscowość ta, przedzielona od Montreux sielskim Territet, z którym poniekąd stanowi jedną całość, nie wiele się musiała zmienić od czasów, gdy tu mieszkał twórca „Balladyny;“ bo jak wtedy była to wioska, tak i dziś odznacza się zupełnie wiejskim charakterem. Okolone winnicami i ogrodami, Veytaux dzisiaj tem się zapewne różni od ówczesnego, że obecnie posiada parę hoteli i pensjonatów; zresztą, składa się z samych wiejskich domków, przeważnie jednopiętrowych, a nie brak pomiędzy niemi i takich, które kto wie, czy nie pamiętają Słowackiego. Bądź co bądź, miejscowość jest urocza, bo jeśli chodzi o widoki, to równie pięknych, jak ztąd, nie ogląda się ani z Vevey, ani z Montreux. Z tyłu, jako *arrière fond*, wznoszą się lesiste stoki góry, zwanej Bois de la Raveyre, którą wieńczy skaliste Rochers de Naye z kończystym Dent de Jaman; w dole niebieszczy się jezioro, o kilkaset kroków widać zamek Chillon, nieco dalej ciągnie się miasteczko Villeneuve, w głębi zaś, po za zieloną równiną Rodanu, rozciąga się przepyszna panorama alpejska, której największą ozdobą jest podniebny i opalony od wiecznych śniegów Dent du Midi, znikąd nie przedstawiający się tak malowniczo, jak ztąd właśnie. Dopiero tutaj widzi się go w całej okazałości. To też, kiedy się jest w Veytaux, kiedy się spaceruje po jego wiejskich uliczkach, kiedy co moment jest się uderzonym pięknem widoków, rozumie się doskonale Słowackiego, który, przybywszy tu, pisał do matki: „Nic piękniejszego, jak okolica, w której żyję.“ Istotnie, trudno sobie

wyobrazić piękniejsze położenie, piękniejszy krajobraz górski. Słowacki, który odczuwał jego piękno, tak o swej nowej siedzibie donosił matce: „Przeniosłem się do wioski Veytaux, najałem śliczny pokój, błękitny, jasny: z okna widać winnicę, za winnicą jezioro, jak pół nieba wywrócone na ziemię, za jeziorem góry Meillerie, sławne w *Heloizie* Rousseau'a, słowem, trudny do opisanego widok. Ludzie, którzy Neapol i Hellespont widzieli, mówią, że ten im wyrówna. W dzień pokój mój, jezioro, niebo, góry, wszystko błękitne, ale dziwnie czyste i przezroczyste; jaśkółki przylatują do pokoju i tłuką się czasem piersią o zwierciadło. Pokój mój przeszlicznie umebrowany... Na dole w domu mieszka minister protestancki, dobry, do rzeczy człowiek. Z nim czasem gawędzę, ale smutny jestem.“ Smutku tego przyczyną była Marya Wodzińska, z którą się musiał rozłączyć... Ta rozłąka z „czarnobrewą panią“ stała się dlań teraz w Veytaux źródłem niewypowiedzianej tęsknoty za utraconym szczęściem.

Odkąd zniknęła, jak sen jaki złoty,
Usychał z żalu, omdlewał z tęsknoty.

Pod wpływem tego uczucia napisał Słowacki, tu w Veytaux, pomiędzy 20-ym a 30-ym lipca, kilka „lirycznych kawałków“, malujących stan jego umysłu w tym okresie czasu, a które zatytułowane: „Rozłączenie“, „Przekleństwo“, „Stokrotki“, „Ostatnie wspomnienie“ i „Chmury“, należą do pereł naszej liryki erotycznej. Pisząc „Rozłączenie“, miał na myśli swe rozłączenie z Maryą Wodzińską, rozłączenie, nad którym bolał tak bardzo, które go o tak szaloną przyprawiało tęsknotę. Nie wątpił bowiem, że nie tylko on kochał, ale i „czarnobrewa panią“ była mu przyjazną, a zatem, że równie tęskniła za nim...

Rozłączeni, lecz jedno o drugim pamięta.
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągle wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bólu fala,
Wiem, jakie Ci rozmowa ludzi lzy wyciska...
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala
I lże różową leje i skłą siłą błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
Znając twój dom, i drzewa ogrodu, i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać
Między jakimi drzewy szukać białej szaty.

(Ciąg dalszy nastąpi).



PRZEGLĄD MUZYCZNY.



Opera: „Mazepa“, „Święto Ognia.“ Koncerty. Thibaud. Baselair. Koncert na kwrzysć rodziny s. p. Juliusza Staltlera. Nowości muzyczne.

Reżyseria opery po dwuletniej prawie przerwie wznosiła „Mazepę“ Münchheimera. Z uwagi na to, że dzieło zasłużonego kompozytora naszego uważać można niejako za nowość, gdyż po niewielu wówczas przedstawieniach zeszło z repertuaru z powodu kończącego się sezonu (dane było w maju) i dla tego nie jest zbyt znane szerszemu ogółowi — oraz, że stanowi ono bezwarunkowo jeden z cenniejszych klejnotów

w literaturze operowej polskiej, przypuszczam, iż dobrze uczynię, dając o niem obszerniejsze sprawozdanie. Libretto opery osnute jest na treści wspaniałej tragedji Słowackiego. Autor jego, p. Radziszewski, ułożył scenaryusz z zachowaniem stopniowania akcji, rozciągającej się w głównych zarysach, według planu wielkiego Juliusza. Geniusz poety przejawia się w majestatycznej grozie zatargów, w barwności urozmaiconego tła, w szerokich konturach postaci scenicznych; mistrz kolorytu i mistrz nastroju przemawia żywo do widza polotem czarodziejskiej wyobraźni. Oczywiście, w celu uproszczenia akcji, zaprowadzone są pewne zmiany: układ jednych scen przestawiono, inne wypuszczono, nazwę aktów zmieniono. Główne jednak zarysy pozostały te same. Język libretta jest piękny i nie przeinaczający słów oryginału.

Partycya Münchheimera nie może być zaliczona do tak rozpowszechnionej w dobie obecnej kategorii „dramatów muzycznych.“ Ukończona przed siedemnastu laty, a obmyślona i uplanowana znacznie wcześniej, nie mogła oddalić się od przyjętego podówczas ogólnie typu budowy widowiska operowego. Spotykamy więc w „Mazepie“ arye, duety, tercet, oktet nawet i finały, jak w operach Meyerbeerowskich i starszych Verdiego, jednym słowem w operach „wielkiego“ repertuaru; kilka monologów i dialogów wydają się tylko, jako ustępstwo, uczynione na rzecz świeższych prądów twórczości. Z tego więc punktu dzieło Münchheimera nie zupełnie zadowolili może wymagania nowoczesne. Do pewnych „ale“ również odnieść należy i to, że w miejscach dramatycznych muzyka nie zawsze stoi na wysokości zadania: nie wyraża ona często stanu psychicznego osób, działających w dramacie, a takie momenty, jak groza zamurowania lub rozpaczliwe miotania się starca, skupiającego w podłożu swej niedoli pierwiastki tęsknoty, mściwości, zazdrości, żalu i wściekłości zupełnie nie znajdują w niej odpowiedniego wyrazu. Pomimo, jednak, że całość trzymana jest w formach, o które reformator Bayreucki toczył walki, jest ona imponująca i kolorystycznie, i rysunkowo, dając obraz, pełen bardzo pięknych i zajmujących szczegółów. Do celniejszych ustępów w „Mazepie“ zaliczyć trzeba poloneza w akcie pierwszym, dumkę Mazepy, scenę pożegnania Amelii ze Zbigniewem, wspaniały i imponujący pomyslowością faktury i rysunku melodyjnego oktet *à capella*, rzewną, przepojoną smutkiem, arye Amelii w więzieniu oraz cały prawie akt ostatni. Już wymienione tylko części opery zapewnić jej mogą duże powodzenie. Po za tem całe dzieło Münchheimera cechuje jasność kompozycji, przejrzystość, wielka melodyjność, łatwa, dostępna dla ucha najmniej muzykalnego nawet słuchacza, a przybrana przytem w szaty harmonii jednorodnej, płynnej i urozmaiconej, aczkolwiek stroniącej od zbyt śmiałych zgrzytów, do jakich przyzwyczaili nas dzisiejsi modernści, i orkiestracy barwnej, wykazującej gruntowną znajomość brzmienia i efektów wszystkich instrumentów, w każdym rejestrze ich skali, oraz zestrój strony muzycznej ze stroną poetycką w miejscach lirycznych, gdzie kompozytor zupełnie wchłonął w inwencję swoją liryzm słów arcydzieła Słowackiego. Wykonanie „Mazepy“ zaszczyt przynosi i scenie, i wykonawcom. P. Korolewiczówna partyę Amelii wyposażyła w wielką dozę tkliwości, uczucia i wdzięku. Strona zaś aktorska wykonania ujawnia ślady wielkiej staranności artystki w opracowaniu roli. Godnymi partnerami p. Korolewiczówny są pp. Florjański i Didur. Pierwszy jest Mazepą takim, jakiego kompozytor mógł tylko wymarzyć. Pomijając już stronę wokalną, w której bohaterki nasz tenorzysta daje dowody wielkiej siły i wytrzymałości głosu oraz umiejętności śpiewania, cała postać tego syna stepu drga życiem, ogniem i młodzieńczym zapalem. P. Didur, rozporządzając jednym z najpiękniejszych głosów basowych, jest zarazem aktorem tak utalentowanym, że ponura postać Wojewody, obserwowana ze stanowiska czysto drama-

tycznego, wychodzi w grze jego rzeczywistość wspaniale. P. Grąbczewski szlachetnie bardzo traktuje postać Zbigniewa; pozostali wykonawcy w osobach p. D'Orio oraz pp. Gorskiego, Kawalskiego i Wołoszki wywiązują się z zadania poprawnie. Orkiestra pod dzielną batutą p. Młynarskiego i chóry bardzo dobrze przyczyniają się do udatnej całości. Strona dekoracyjna i kostiumowa oraz układ sceniczny p. Chodakowskiego godne są sceny pierwszorzędnej.

Niezależnie od wznowienia ze wszech miar interesującej opery Münchheimera scena wielka dała nam w nadzwyczaj bogatych i okazałych ramach wielce oryginalną nowość, mianowicie „Święto ognia“, fantazyę choreograficzną Maryana Prażmowskiego z muzyką Zygmunta Noskowskiego. Królowa cyganów Tyra stara się zdobyć utracone serce kochanka, księcia Stefana, który zapalał miłością do wiejskiej dziewczyny Haliny. Zjawia się tedy w noc świętojańska w lesie u czarownicy, aby otrzymać od nich trochę napoju miłosnego. Czarownicy spełniają jej żądanie, lecz napróżno, gdyż Halina tejże nocy staje się posiadaczką talizmanu szczęścia, powodzenia w miłości i odczyniania uroków — udaje się jej zerwać tajemniczy kwiat paproci. Wtedy Tyra ofiaruje swe służby nieczystym duchom, aby z ich pomocą odebrać Halinie Stefana. Podczas pięknego obchodu wianków i sobótek, kiedy Stefan wydobywa z wody wianek uroczej dziewczyny i uszczęśliwiony chwytą w objęcia umiłowaną, zjawiają się wilkołaki, dziwożony, gnoimy i t. p. straszdyła i rzucają na młodą parę. Lecz oto pieje kur — potwory znikają w popłochu, Stefan porywa Halinę na łódź i wiezie ją do swego pałacu, a zrozpaczona Tyra, widząc, iż wszystko się jej wymyka, rzuca się w nurty wodne. Taką jest w krótkości treść fantazyi p. Prażmowskiego, do której jako główne pierwiastki posłużyły podania ludu naszego o kwiecie paproci, wierzenia w obecność istot nadprzyrodzonych, zamieszkujących lasy, wreszcie sympatyczny obchód wianków i sobótek. Materiał to wdzięczny i zajmujący żywo widza, gdyż przywołuje przed oczy jego sceny bliskie, z życia ludu czerpane, albo zasłyszane w zaraniu dzieciństwa z ust matki lub piastunki. Przyznać przytem należy, iż p. Prażmowski w uscenizowaniu tego materiału wykazał wiele pomysłowości i rzetelnego talentu i uczynił wszystko, aby sztukę zrobić jeszcze bardziej zajmującą. Akcja ożywiona a malownicza toczy się szybko, na scenie wre ciągle ruch i życie, okazałe szczegóły zewnętrzne obmyślane są artystycznie, drobiazgowo i z wielką znajomością wymagań obrazowości scenicznej, a wprowadzenie tak efektownego pod względem dźwięczności czynnika, jakim jest śpiew chórowy, oraz wplecenie w akcję choreograficzną pieśni solowych podnosi jeszcze poziom osiągniętych wrażeń. Fantazyja p. Prażmowskiego jest nie tylko barwną dla oka, ale i miłą dla ucha, i to czyni ją bardzo oryginalną.

Obok wartości artystyczno-literackiej oraz istotnie korzystnych warunków sceniczności „Święto ognia“ posiada jeszcze tę znaczną zaletę, iż dostarcza kompozytorowi powabnej treści do barwnej ilustracji muzycznej. Obrazowość ta, zespolenie świata realnego z fantastycznym, różnorodny pierwiastek etnograficzny, wyraźnie zaznaczające się typy i uczucia postaci działających, przeplatanie akcji mimicznej muzyką wokalną — wszystko to nadaje się w wysokim stopniu do pobudzenia natchnienia muzyka, obdarzonego płodną fantazyją twórczą. Pobudziło też do czynu znakomitego pieśniarza naszego, Zygmunta Noskowskiego, który dał nam partyturę natchnioną, pełną płynnej melodyjności, a przybraną w cenny artyzm genialnego opracowania pomysłów.

Ilustracja muzyczna do „Święta ognia“, to istne dzieło symfoniczne, różniące się zasadniczo od szablonu dawnego sposobu tworzenia partytur baletowych. Tematy muzyczne snują się i rozwijają, jak w symfonii, a łączą się jedne z drugimi, wytwarzając z każdego aktu

całość nierozzerwalną. Uwertury „Święto ognia“ nie posiada; kilkanaście zaledwie taktów nastrojowej przegrywki wstępnej wprowadzają nas od razu w środowisko, w którym rozegrać się ma pierwsza część akcji, Stan psychiczny i rysy znamienne postaci działających są zaznaczone w muzyce nadzwyczaj wyraźnie za pomocą motywów przewodnich lub pewnych zwrotów charakterystycznych; również wyraźnie uwytatnione są pierwiastki etnograficzne i fantastyczne: każdy motyw swojski, węgierski, cygański-indyjski, lub świata duchów i istot nadprzyrodzonych ma swoją dobitną i odrębną charakterystykę. Po za tem muzyka jest doskonale zastosowana nie tylko do nastroju akcji, lecz często do poszczególnych nawet ruchów i gestów, obfituje w melodye piękne, pełne prawdziwego polotu, szczere, a zawsze szlachetne. Chcąc wyszczególnić wybitniejsze usteępy, trzeba chyba wyliczyć wszystkie po kolei. Do najpiękniejszych jednak należą: solo skrzypcowe cygana z prologu, w akcie pierwszym zamaszysty polonez, porywający taniec amazonek oraz pełen egzotycznego charakteru taniec Tyry z węzem, w akcie drugim dramatyczne pas de deux Tyry z szatanem i uroczy walc fantastyczny dziwożon, wreszcie w ostatnim — charakterystyczny krakowiak góralski. Wszystkie te usteępy i tony innych urozmaicone są wielce w formach, charakterystyce i rytmach, a zasobne w prawdziwy wdzięk, elegancję i wytworność. Robota kontrapuktyczna, w której, jak wiadomo, Noskowski jest mistrzem skończonym, odgrywa w partycji rolę wciąż pierwszorzędного czynnika, a jest przytem, pomimo swej obfitości, tak prosta, iż sprawia wrażenie, jakgdyby fantazyja autora igrała z zawilosciami polifonii. Instrumentacja pełna świetnych, a nawet nowych zupełnie pomysłów i efektów, zawiera skarby olśniewającego bogactwa, mieni się niby stubarwna paleta i wykazuje w całej pełni wszechstronną wiedzę i wieloletnie doświadczenie tego największego bodaj w dobie obecnej kompozytora naszego. „Święto ognia“ stanowi bezwzględnie jedną ze świetniejszych kart w bogatej twórczości Noskowskiego.

I trzeci czynnik „Święta ognia“, mianowicie pantomima i tańce udała się zupełnie p. Grassiemu, którego pomysłowość artystyczna znalazła bardzo odpowiednie pole do zajaśnienia w świetle poważnego talentu. Malowniczość grup, nadanie wdzięku i wytworności pozom, wielki nakład pracy w przygotowaniu strony choreograficznej, wreszcie układ tańców przynoszą prawdziwy zaszczyt utalentowanemu dyrektorowi, baletu. Najefektowniej wyszły: czardasz, mazur taniec amazonek i krakowiak góralski, aczkolwiek i innym tańcom solowym i zbiorowym nie zarzucić nie można.

Z wykonawców ról mimicznych pierwszeństwo przyznać należy p. Cerri, która w roli cyganki Tyry wywiązuje się z uciążliwego zadania świetnie, tańcząc z temperamentem wielkim i sprawnością niepospolitą, stronę mimiczną zaś odtwarzając znakomicie. Panię Rządówną i Rutkowską, jako Halinę i Stefana, oraz pp. Walczak, Gillert i Blancard w rolach szatana, Bożymira i trefnisia przyczyniają się też każda i każdy w swoim zakresie do pomyslnego powodzenia całości. Role śpiewane mają wybornych przedstawicieli w pannie Frenklównie i p. Grąbczewskim. Tańce zbiorowe idą składowo i z życiem; ciało baletowe dało rzeczywistość dowód, jak się wyrazili twórcy widowiska w podziękowaniu publicznem, wystosowanem do wszystkich, biorących udział w interpretacji „Święta ognia“, że „dział choreograficzny na scenie warszawskiej nie jest mytem, lecz stanowi korporację zwartą i godną podjęcia większych zadań w tym kierunku.“ Chór oraz orkiestra pod energicznym i pełnym życia kierunkiem p. Stermicza sprawują się chwalebnie. Śliczne kostiumy, malownicze dekoracje pędzla pp. Klopfera i Kozłowskiego, dobre efekty świetlne — wszystko to pieści wzrok barwą, rysunkiem i bogactwem szczegółów i stanowi nader odpowiednie ramy

dla korzystniejszego uwytatnienia pięknego widowiska, które ma zapewniony na naszej scenie żywot pomyślny i trwały.

Obie nasze instytucje muzyczne, Filharmonia i Towarzystwo Muzyczne pracują wciąż wytrwale i formalnie zalewają koncertami Warszawę. Na obu estradach ukazywały się kolejno w ciągu stycznia i w połowie bieżącego miesiąca takie siły znakomite i pierwszorzędne, jak: panie Jaczynowska i Bohussówna, panowie de Lucia, Michałowski, Consolo, Godowski, Hecking, Marteau, Reisenauer, Burmester, Schelling, Myszuga, Barcewicz, Górski, Thibaud, Bazelaire i inni. O wszystkich tych wykonawcach mówić nie będę, — bowiem z wyjątkiem pp. Thibaud i Bazelaire'a znani są już dobrze melomanom warszawskim. Co się zaś tyczy tych dwóch artystów, to w p. Thibaud poznaliśmy jeszcze jednego wielkiego skrzypka. Młody, gdyż liczący zaledwie 24 lata, artysta cieszy się już we Francji i Niemczech wielkim uznaniem. Zalety gry jego stanowią: ton piękny i śpiewny, idealna czystość intonacji, technika świetna, słodycz nadzwyczajna i głębia poczucia muzycznego. P. Bazelaire, jest jeszcze młodszy, gdyż ma niespełna... 15 wiosen. Jednak to dziecko-artysta w grze swojej, nie mówiąc już o nadzwyczajnej sprawności technicznej, ujawnia tyle dojrzałości, tyle polotu indywidualnego, tak potężnie potrafi przemówić do duszy słuchacza, iż miejsce wśród najpierwszych wirtuozów gry wiolonczelowej już obecnie słusznie mu dać należy.

Niezależnie od koncertów filharmonicznych i Towarzystwa Muzycznego wspomnieć się godzi jeszcze o koncercie danym w Sali Ratuszowej przez Wierzbilowicza, na którym znakomity nasz wiolonczelista wywierał jak zwykle głębokie wrażenie grą piękną i uczuciową, oraz o kilku wieczorach, urządzonych na różne cele. Z tych ostatnich na szczególną uwagę zasługuje koncert na rzecz rodziny ś. p. Juliusza Stattlera. Życzenia, wyrażone między innymi i przez nasze pismo, aby koledzy i uczniowie tego przedwcześnie zgasłego dla sztuki i dla społeczeństwa pracownika wzięli do serca los pozostałych po nim żony i dzieci, nie przebrzmiały bez echa. Instytut muzyczny gorąco wziął się do dzieła, a owocem jego zabiegów stał się jeden ze świetniejszych w sezonie obecnym koncertów z udziałem pań: baronowej Buxhoevden i Korolewiczówny oraz pana Grąbczewskiego, jako solistów, pp. br. Kronenberga, Młynarskiego i Maszyńskiego, jako dyrygentów, Towarzystwa śpiewaczego „Lutnia“, chórowi Konserwatorium w liczbie stu kilkudziesięciu osób (klasa prowadzona przez ś. p. Stattlera) oraz orkiestry Filharmonii. Koncert powiódł się znakomicie zarówno pod względem materialnym, jak i artystycznym. Z wykonawców na szczególne wyróżnienie zasługują baronowa Buxhoevden, która przedstawiła się, jako wybitna siła artystyczna na horyzoncie muzycznym naszego miasta. Prawdziwie utalentowana pianistka, uczennica słynnego Henselta, rozporządza tonem pełnym, dźwięcznie rozbrzmiewającym, technikę posiada śliczną, w grze ujawnia nadzwyczajną muzykalność i inteligencję oraz wiele temperamentu, smaku artystycznego i wytworności. Wszystkie te przymioty zjednały dystyngowanej amatorce ogromne uznanie ze strony zachwyconych i przyjemnie zdziwionych słuchaczy.

Z nowości muzycznych do zanotowania mam niewiele. W końcu karnawału nakładem firmy Sennewalda wyszło kilka ładnych utworów tanecznych, z których wyróżniają się melodyjnością i ładnym opracowaniem walce: „Krew hiszpańska“ H. Brzezińskiego, osnuty na oryginalnych motywach hiszpańskich, „Nasza gwiazda“ S. Kranstofla, ofiarowany Salomei Kruszelnickiej, oraz z nowej operetki Sidney Jonesa „San Toy.“ „Śpiew kościelny“ wydał dla par zawierających związki małżeńskie „Modlitwę o błogosławieństwo“ kompozytce ks. Teofila Kowalskiego. Modlitwa ta, a raczej cztery modlitwy, napisane do jednego tekstu, są poważne w nastroju, a zharmonizowane ładnie i ze znajomością rzeczy,

właściwą utalentowanemu temu kapłanowi-muzykowi. Z wydawnictw „Echa Muzycznego“ pojawił się gawot z Sonaty № 2 J. S. Bacha w udanej transkrypcji na fortepian Karola Reinecke oraz wdzięczny śpiew Miłozza Kotarbińskiego p. t. „Wspomnienie.“ Wreszcie nakładem Konstantego Treptego wyszły w drugim już wydaniu: „Tocatta“ Kalkbrennera i „Rondo“ Hummela, stanowiące №№ 11 i 12 całego zbioru p. t. „Le pianiste célèbre.“ Zbiorek ten, składający się, jak dotychczas, z 12 numerów, obejmuje utwory Rossiego, Ramea, Galupiego, Händla, Scarlatiego, trzech Bachów, Couperina i innych kompozytorów klasycznych. Dobór kompozycji oraz znakomite opalowanie ich przez Włodzimierza Oberfelda czynią to dużej wartości wydawnictwo godnym uwagi wszystkich osób, znacznie już zaawansowanych w grze fortepianowej.

St. Dziadulewicz.

Wystawa sztuki stosowanej w salonie Krywultra.

Sztuka stosowana, przesiąknięta nowym kierunkiem, zbratana potężnie z przemysłem i zdobywająca w całej Europie coraz szersze pole, i u nas też coraz liczniejszych znajduje przedstawicieli, pomiędzy tymi zaś większość kobiet-artystek.

Najpoważniej pomiędzy niemi zaznacza się swą działalnością pani Bronisława Poświkowa, artystka-malarka, kierowniczka szkoły rysunkowej i malarskiej dla kobiet. Wystawa, urządzona w jednym z pokojów u Krywultra jest prawie wyłączną wystawą prac tej artystki. Oprócz dwóch supraportów z łabędziami i *panneau* naśladowującego gobelin, a przedstawiającego fragment z obrazu Siemiradzkiego „Fryne“, malowanych przez pannę Alfonsynę Kanigowską, oraz paru teczek z wytłaczanej skóry (*repoussées*), roboty panny Stefanii Kossowskiej, wszystko co widzimy na tej wystawie sztuki stosowanej, jest dziełem rąk albo pomysłem pani Poświkowej.

A więc, meble wykonane podług jej rysunku: 1) Garnitur o bardzo wysokim plecownem oparciu, składający się z kanapki z dwoma oparciami, z dwóch fotelików, paru krzeseł i stołu. Meble te, malowane i polerowane dość jaskrawo na kolor mahoni, kryte są gładką materyą niepewnej zielonawej barwy. Na poduszkach wyhaftowane, niby rzucone, pawie pióra. W rogu pokoju, ponad kanapką zawieszona kątowna półka, odznacza się pomysłowością rysunku, zapełniając zaś przerwę pomiędzy oparciami kanapki, zespala się z nią doskonale. 2) Małe biureczko, fotelik i parawanik z drzewa, malowanego na szaro. Fotelik i parawanik w stylu angielskiej secesji z zastosowaniem średniowiecznych ostrołukowych linii, zdobi rodzaj fryzu w stylu zakopiańskim. Zdawaćby się mogło, iż dziwacznym powinno być zestawienie naszej swojskiej ornamentyki z angielską secesją, a jednak całość zlewa się harmonijnie. Nie wiem tylko, czemu biureczko, noszące na sobie też same motywy ornamentyki zakopiańskiej, zbudowane jest w zupełnie innym stylu, nie mającym nic wspólnego z ostrołukową secesją. Dopełnieniem wyżej wzmiankowanych trzech sprzętów jest portyera z aplikowanym szlakiem w stylu zakopiańskim. 3) Meble, zdobne irysami. Wsuwane, drobne, o cienkich zgrabnych nóżkach stoliki, bardzo oryginalny fotel, szafka na salonowe drobniaki i wysoka, zwięzająca się ku górze półka, wszystko w tonie szaro-zielonym, bardzo przyjemnym dla oka, na którym irysy ślicznie, a nie jaskrawo odbijają.

Z przedmiotów innych, służących ku ozdobie mieszkania, wymienię: dwa *panneaux* —

przedstawiające „Wiosnę“ i „Jesień“, malowane z odczuciem właściwego owym porom nastroju, — pomysłowe i bardzo ładne oprawy drewniane, niby teczki wybornie dopasowane do kryjących się w nich książek, — wielką banię szklaną (zwyčajny gąsior do kwasów) z rzuconą na niej artystycznie, poźółkłą gałęzią kasztana (malowidło na szkle emaliowem lakierami), patere fajansową z głową sowy, portyere płócienną, malowaną w fantazyjne kwiaty, *panneaux* z nahaftowanymi pawiami, przeznaczone do zasłonięcia pieca, ciemnik na lampę, malowany w śliczne kwiaty i t. d., i t. d.

Pani Poświkowa nie zapomniała i o tle właściwym dla nagromadzonych przez siebie przedmiotów i własnoręcznie przygotowała prawdziwie modernistyczną, a bardzo piękną tapetę. Ściana utrzymana w zielonym, nierównym tonie, od góry ku dołowi i od dołu ku górze wyrastają fantazyjne, brudno czerwone kwiaty, na długich łodygach.

Co do mnie, jeden przedewszystkiem postawiłabym zarzut meblom pomysłu pani Poświkowej, wystawionym w salonie Krywultra, a tym jest nie dość umiejętne malowanie drzewa. Rozumie się, że sprzęty z prawdziwego mahoni, paduku, napuszczonego umiejętnie jaworu, dębu, byłyby nierównie piękniejsze od tak zwanych bejcowanych, lecz byłyby też i nierównie kosztowniejsze, należy więc bejcowanie drzewa doprowadzić do lepszego naśladownictwa natury, gdy zaś o naśladownictwo owo nie chodzi, do większej doskonałości i subtelniejszej roboty nie na jaskrawości i łatwym lakierowaniu opartych. Sprzęty niewątpliwie zyskałyby wiele na wytworności wykonania.

Zofia Seidlerowa.



ZŁOTE ZIARNKA.



Nigdzie tak łatwo jak w ludzkim rozumie,
Anioł w szatana przedzierzgnąć się umie.

A. E. Odyniec.

Taki jest zwykły chód szczęścia: długie marzenie,
krótkie chwile rzeczywistości — a potem wieki wspomnień i żalu.

J. I. Kraszewski.

Wielkie rzeczy zamilknięciem najlepiej się mówią.

And. Maks. Fredro.

Prawdziwa wyższość ani w obcym nie świeci się blasku, ani też niczyjego nie lęka się cienia.

Gdy zrzędzeniem losów bogactwa dostaną się człowiekowi dobremu, to jak gdyby na środku wioski owocowe wyrosło drzewo.

Paulina Wilkońska.

Prawdziwi uczeni są uprzejmi, gdyż wiedza, co się ludziom należy; są też skromni, gdyż świadomość własnych niedostatków nie pozwała im wzbijać się w pychę.

J. Rousseau.

Człowiek rodzi się dobrym, a społeczeństwo psuje go.

Żartem i seryo człowiek przez całe życie do tego jedynie dąży, iżby przed samym sobą uciekał, i zapominał o sobie, bo niechby raz jeden zmuszony był pozostać sam z sobą, tak go przeraża występujące z jego wnętrza upiory, iż gorzej od nich ucieka, niż od śmierci.

Pascal.

Kronika działalności kobiecej.



— W Wiedniu, w gmachu Towarzystwa ogrodniczego, Towarzystwo Niebieskiego Krzyża, pod protektoratem arcyksiężniczki Maryi Józefy, urządza Wystawę gospodarstwa kobiecego. Otwarcie naznaczono na dzień 15-go marca.

Wystawa dzieli się na grupy, grupy zaś na klasy.

Grupa I. — Jadło. A więc:

Klasa 1-a obejmuje wszystko, co tylko wchodzi w dziedzinę kunsztu kucharskiego, piekarskiego i cukierniczego. Dalej: owoce, korzenie, mąki, krupy i t. p., oraz chemicznie skoncentrowane produkty odżywcze i wszelakie surogaty.

Klasa 2-ga. — Wina, trunki, napoje.

Grupa II. Dom.

Klasa 3-a. Sprzęty, dywany, instrumenty muzyczne, dekoracja mieszkań, roboty ręczne.

Klasa 4-a. Urządzenie kuchni, piwnicy, spiżarni, lodowni, porcelana, szkło, naczynia metalowe, srebro, bielizna stołowa i t. d.

Klasa 5-a. Wentylacja, ogrzewanie, ogniska kuchenne, łazienki i t. d.

Grupa III. Ubranie.

Klasa 6-a. Ubrania wszelakie dla dorosłych i dla dzieci, bielizna, pościel, kwiaty sztuczne, biżuteria, przybory toaletowe, perfumerya.

Grupa IV. Wychowanie.

Klasa 7-a. Odżywianie dzieci.

Klasa 8-a. Książki z obrazkami i do nauki, inwentarz szkolny, zabawki.

Grupa V. Hygiena.

Klasa 9-a. Wszystkie sposoby, służące ku utrzymaniu zdrowia.

Klasa 10. Opatrunki i ratowanie w razie nagłych wypadków.

Grupa VI. Literatura specjalna.

Klasa 11-a. Dzieła odnoszące się do kuchni, domu i wychowania, odnośne dzienniki, plany szkół i t. d.

Niezapreczenie wystawa podobna wzbudzi ruch i podnieję w bardzo pożytecznym i zawsze arcyżywotnym kierunku, przyklasnąć możemy zdrowemu pomysłowi i pragnąć, by i na naszym przyjął się gruncie.

Z. S.

— Pani Matylda Serao, znana powieściopisarka włoska, wszczęła proces rozwodowy przeciw mężowi swemu, p. Scarfiglio, dyrektorowi „Mattina“, utrzymując, że dzięki udziałowi męża w skandalach Neapolitańskich, cześć jej i dobra sława silnie ucierpiały.

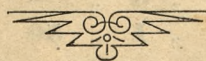
K. D.-S.

Treść numeru:

Slöjd, jako czynnik wychowawczy, przez Wandę Grot-Bęczkowską. — Przyszań, powieść współczesna, przez J. Terpilowską (ciąg dalszy). — Nad modrym Dunajem (z poematu «Sobieski pod Wiedniem»), przez Deotymę (ciąg dalszy). — Pogadanki pedagogiczne Narcyzy Żmichowskiej, w opracowaniu Wandy Żeleńskiej. — Módl ty się za mnie... (wiersz), przez Zygmunta Rózyckiego. — A. Hue: Ruskin i kobieta, tłumaczenie Zofii Hartinghowej. — Już nie wróci... przez Darwida. — Nad wodą jasną i czystą... przez Ferdynanda Hoesicka (ciąg dalszy). — Przegląd muzyczny, przez S. Dziadulewicza. — Wystawa sztuki stosowanej w salonie Krywultra, przez Zofię Seidlerową. — Złote ziarnka. — Kronika działalności kobiecej. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz dziesiąty powieści Ryszarda Henryka Savage «Nowoczesny korsarz.»

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 34). — Przepisy gospodarskie.



Pracownia i Magazyn Wyrobów Srebrnych Złotych i Brylantowych

J. LIPOWSKI

w Warszawie, przy ulicy *Trebackiej* Nr. 9.

Poleca wybór biżuterii złotej z drogiemi kamieniami, jako to: pierścionki, broszki, kolczyki, bransolety, breloki, krzyżki, łańcuszki damskie i męskie, oraz srebro stołowe i fantazyjne. Przyjmuje się zlecenia na żetony, medale pamiątkowe, monogramy, faksymile i wogóle na wszelkie obstalunki w zakres jubilerstwa wchodzące. — **Ceny fabryczne.**

Biblioteka Samokształcenia.

Więcej światła! Więcej nauki! Oto hasło każdego narodu, który pragnie istnieć. Lecz książka naukowa rzadko ukazuje się u nas, a swą wysoką ceną odstrasza czytelnika. Ukazują się i rzeczy tańsze, lecz te swoją wartością, zazwyczaj bardzo mierną, nie mogą pociągnąć. Potrzeba zaś samokształcenia, która ostatnimi czasy dokonała takiego postępu u nas, oczekuje tej chwili, kiedyby rozpoczęto systematyczne wydawnictwo książek naukowych tanich, a dobrych. Kierując się temi pobudkami, redakcyja „**Poradnika dla Czytających Książki**“ przystępuje do wydania szeregu tanich wydawnictw. Pierwsza książka ukaże się 1-go marca r. b. i w przeciągu tego roku wyjdzie 20 tomów, każdy zawierający od 6—9 ark. druku. Cena tomiku dla prenumeratorów **Poradnika** 25 kop. czyli rocznie 5 rb., z przes. 7 rb., półr. 2.50, 3.50. Wydawnictwo między innymi obejmuje: Dr. Gorzycki: **Historia chłopów w dawnej Polsce do zniesienia poddaństwa**; Höfding: **Etyka**; Jevons St.: **Logika**; T. O. Mason: **Udział kobiety w pierwotnej kulturze**; Haecckel: **Dzieje utworzenia przyrody**; E. Clodd: **Historia pierwotnego człowieka**; J. Żuławski: **Spinoza — Człowiek i dzieło**; Scherr: **Historia komedii ludzkiej**; Radliński: **Historia Antropologii**; Chambers: **Opowiadanie o gwiazdach**; Neumayer: **Drzewo rodowodowe zwierząt**; L. Woltman: **Darwinizm społeczny**; O. Wilde: **Krytyka artystyczna**; M. Kowalewski: **Rozwój stosunków ekonomicznych w Zachodniej Europie**; A. Sutherland: **Początek i wzrost instynktów moralnych.**

Jednocześnie numera **Poradnika** będą systematycznie poświęcane rozbirowi ukazującej się książki: **wykazaniu stanu danej gałęzi nauki, braków, które mogą istnieć w wydanym dziele, uzupełnieniom, które będą potrzebne.**

Redakcyja **Poradnika Nowy-Swiat** 41. Cena rocznie 2 rb., z przesyłką 2.60, półrocznie 1 rb., 1.30 kop.

Prosimy o wczesne nadsyłanie zamówień w celu unormowania nakładu.

SPECYALNA FABRYKA FARTUCHÓW I HALEK

M. Raszkes i S-ka Muranowska Nr. 14. 18

„KOLCE“

Tygodnik Humorystyczno-Satyryczny Ilustrowany

Największy ze wszystkich pism humorystycznych w kraju, wychodzi co tydzień w sobotę.

Prenumerata „**KOLCÓW**” wynosi:

w Warszawie:	Z przesyłką pocztową:
Rocznie rb. 6 kop. —	Rocznie rb. 8
Półrocznie „ 3 „ —	Półrocznie „ 4
Kwartalnie „ 1 „ 50	Kwartalnie „ 2

Cena pojedynczego numeru kop. 15.

Adres redakcyi **Kolców**: Warszawa, ul. Niecała Nr. 12.

PIJ CIE MOLINARIKAWĘ

Skład główny i Kantor Senatorska 22.

Marszałkowska № 129.

Oddziały: Miodowa № 4.
Nowy-Swiat № 7.

Fabryka Leszno № 98a.

16

Egzystuje od r. 1878. Parowa Farbiarnia i Pralnia Chemiczna Egzystuje od r. 1878.

p. f. **ŁUKOMSKI**

Warszawa, BRACKA Nr. 6.

Przyjmuje się do prania i farbowania garderobę damską i męską bez prucia, gobeliny, firanki, dywany, chodniki; odświeżanie mebli i apartamentów z gwarancją firmy w razie uszkodzenia. Specjalna maszyna, sprowadzona z zagranicy do dekantowania sukna, kortu, syberyjny i t. p. Pranie firanek, portyer, chodników przez specjalistów, których zakład wysyła na własny koszt.

Ceny niskie, lecz stałe.

Młoda osoba, z dobrego domu, muzyczna, poszukuje zaraz umieszczenia w pensjonacie jako nauczycielka muzyki.

Laskawe oferty uprasza się nadsyłać do redakcyi pod lit. A. H. 77.

Zalotwiam pogrzeby od rbl. 25

do najwykwintniejszych. Trumny metalowe od rb. 30, drewniane od rb. 12 i dębowe. Wieńce metalowe od kop. 75. Makarta zasuszone od k. 60 Szarfy. Pochodnie. Paki smolowane do przewozu ciał.

Krepy czysto jedwabne (angielskie) w wielkim wyborze od 70 kop. za lokiec. Odświeżam krepy.

100 kapeluszy z woalami od rb. 4. Suknie od rbl. 15. Spódnice z krepą od rbl. 7 kop. 50. Ubiory pośmiertne.

Z. FIJAŁKOWSKI

Senatorska 26,

(wprost kościoła św. Antoniego).

Mieszkam w tymże domu.

Powyższy towar wysyłam za zaliczeniem.

JAK ZACHOWAĆ

ZDROWIE
URODĘ
MŁODOŚĆ

Rady higieniczne dla naszych córek.

podała Elżbieta Füllly.

Wydanie ozdobne. — Cena k. 20, w oprawie 30 k.

Wydawnictwa M. ARCTA

W WARSZAWIE, NOWY-SWIAT N. 53.

Magazyn Mebli oraz Zakład Tapicersko-Dekoracyjny

Ant. STRÓMIŁO

25. BRACKA 25.

Poleca całkowite urządzenia apartamentów od najskromniejszych do najwykwintniejszych. — Stolarnia własna. — Ceny niskie.

W. Golińska

Gmach Teatralny

poleca

Nowości w zakresie galanterii

BRONZY, ALBUMY,

NESESERY,

WACHLARZE, RĘKAWICZKI,

RAMKI.

FABRYKA
PIANIN

T. Barszczewski

Koszykowa 38.

SKŁAD

PERFUMERYJNO-GALANTERYJNY

MARJI BOJDAKOWSKIEJ

Warszawa, Chmielna № 21.

Poleca znaczny wybór galanterii oraz perfumerji fabryk krajowych i zagranicznych.

Są do nabycia we wszystkich księgarniach dzieła pedagogiczne **Beussnera** do bardzo przedkłej i najłatwiejszej nauki **Języków obcych bez nauczyciela** z objaśnieniem wymowy i z kluczem pod tyt.:

POLSKO-NIEMIECKI, kurs wstępny (Elementarz) po kop. 5, 12, 24 i 40; — kurs I-y kop. 60, — kurs II-gi kop. 1.60.

RUSKO-NIEMIECKI, po kop. 5, 12, 24, 40 i 2.20.

POLSKO-FRANCUSKI, kurs I-szy kop. 1.20, kurs II-gi kop. 3.20, **GRAMATYKA POLSKO-FRANCUSKA** kop. 1.20.

POLSKO-ANGIELSKI, kurs I-szy kop. 75, kurs II-gi kop. 1.20.

POLSKO-RUSKI, kurs I-szy kop. 1.40, kurs II-gi kop. 1.80.

Skład u autora, Warszawa, ulica Złota № 6.

SZKOŁA KROJU
I. GRABSKIEJ

CHMIELNA № 49.

Metoda własna, dyplomowana w Paryżu, bez linijek i poprawek krajac można wprost z materyału. Patenty cechowe. 14

Nowo utworzony Magazyn Sukien

L. TRANTZ, Nowy-Swiat 60

poleca wielki wybór gotowych bluzek, szlafroków etc. Zamówienia wykonywane są w przeciągu 24 godzin. 22.

